ZDZISŁAW JULIAN WINNICKI GRODNO 1882 MOC LITERATURY

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydaw[illegible]hodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 7 (174) LIPIEC 2020



JUŻ NA WAKACJE

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 7 (174) LIPIEC 2020





Na pierwszej stronie okładki: Dyplomy dla dzieci uczących się języka polskiego w Dzierżyńsku wręcza prezes ZPB Andżelika Borys. Mińsk. 20 czerwca 2020 r. Fot. Iness Todryk-Pisalnik

Na ostatniej stronie okładki: Śluza w Niemnowie po białoruskiej stronie Kanału Augustowskiego, ostatnia przed połączeniem kanału z Niemnem. Fot. Irena Waluś

REDAKTOR NACZELNA: *Irena WALUŚ* i.walus@op.pl tel.+375 29 949-35-09

KOREKTA: *Danuta KARPOWICZ*
SKŁAD I ŁAMANIE: *Alaksiej SALEJ*

Archiwum: kresy24.pl/archiwum-magazynu-polskiego/
Okładka: Magazyn Polski na uchodźstwie

PRENUMERATA POLSKA: Fundacja Wolność i Demokracja, Al. Jerozolimskie 30 lok.14 00-024 Warszawa, tel.(22)628-85-05

MAGAZYN POLSKI jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Społecznego Zjednoczenia «Związek Polaków na Białorusi». Założony w roku 1992, od roku 2005 jest wydawany na uchodźstwie

Projekt realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja, finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą

Niewakacyjne nastroje tego lata



IRENA WALUŚ
REDAKTOR NACZELNA
„MAGAZYNU POLSKIEGO NA UCHODŹSTWIE"

Świat od kilku miesięcy żyje w dużym napięciu z powodu pandemii koronawirusa. Mimo że rozpoczyna się okres urlopów i wakacji, to nastroje tego lata różnią się od emocji, które towarzyszyły nam w epoce „przedkoronawirusowej" – nie ma tamtej radości. Część ludzi zachowuje się rozsądnie i wybiera się na urlop w swoim kraju lub do najbliższego kraju sąsiedniego, by w razie pojawienia się ogniska koronawirusa móc jak najszybciej wrócić do domu, najlepiej własnym samochodem. Inni się cieszą, że granice są otwierane, i chcieliby wyjechać jak najdalej.

Pewna część osób – jak ludzie kultury i sztuki, przeżywa teraz bardzo trudne czasy. W Polsce przewidziana jest mniejsza liczba sprzedawanych biletów na koncerty, sztuki teatralne, a nawet podczas imprez plenerowych liczba gości jest ograniczona i obowiązuje dystans społeczny i noszenie maseczek. Na Białorusi nie ma czegoś takiego, więc publiczność obawia się chodzić do teatrów, filharmonii czy odwiedzać inne wydarzenia. Życie kulturalne zamarło, brak też turystów. Podczas weekendów miasta wyludniają się, bo kto tylko może wyjeżdża na działkę czy na wieś.

Trudny czas też przezywają ludzie biznesu, związani z gastronomią czy turystyką. Można współczuć właścicielom kawiarni, barów, restauracji i sobie samym, bo kultura kawiarniana to ważna część naszego życia. Brakuje przyjemności spotkania się z przyjaciółmi i rozmów przy dobrej kawie. Dla ludzi związanych z tymi sferami interesów, urlop czasami jest wymuszony okolicznościami, a nie długo oczekiwaną przyjemnością.

Na początku pandemii wydawało się, że kwarantanna i ograniczenia są zjawiskiem czasowym, może na parę miesięcy, ale teraz wiadomo, że nie. Odpowiedzialni ludzie zmienili styl życia. Trzeba go się trzymać aż do czasu, gdy światu uda się pokonać nową chorobę przez zastosowanie skutecznej szczepionki, która przejdzie wszelkie niezbędne badania, będzie bezpieczna, bez niepożądanych skutków ubocznych. Nastąpi to wg Światowej Organizacji Zdrowia nie wcześniej niż w roku 2023. A to oznacza, że trzeba nauczyć się żyć w warunkach „pełzającej" pandemii, która przytłumiona co jakiś czas będzie powracać. To już wpłynęło na obszary życia, wymienione wyżej, które sprowadzają się do wspólnego uczestnictwa w wydarzeniach: od imprez sportowych po zakupy w centrach handlowych, wypoczynek, uroczystości rodzinne. Ograniczenie kontaktów między ludźmi, unikanie większych grup, zachowywanie dystansu społecznego – życie „na odległość", przede wszystkim po to, żeby zmniejszyć siłę epidemii. I przestrzegać zasad higieny.

Takie życie znamy tylko z filmów *science fiction* przedstawiających życie na Ziemi po kataklizmie. Co tam było – małe, odizolowane społeczności unikające kontaktu dla własnego bezpieczeństwa lub wprowadzające z tych samych powodów ścisły nadzór.

To wizja nieoptymistyczna, trudna do zaakceptowania, ale możliwa, by móc dalej pracować, uczyć się, studiować, wychowywać dzieci i jednak z optymizmem patrzeć na życie w przyszłości. Nasi przodkowie przeżywali straszne kataklizmy, wojny, deportacje, głód i czasami mieli nikłe szanse na życie i przetrwanie. My mamy wprowadzić tylko ograniczenia do naszego życia. Z tej perspektywy to rzeczy nieporównywalne.

W czasie pandemii okazało się, że pracownicy pewnych dziedzin mogą pracować zdalnie i tak już może pozostać, przynajmniej u części. Są plusy i minusy takiej pracy, w aglomeracjach zaś, gdzie bardzo dużo czasu traci się na dojazdy, to świetne rozwiązanie. W korporacjach i dużych firmach sporo pieniędzy przeznaczano na podróże służbowe i szkolenia. Kwarantanna pokazała, że wiele spraw da się załatwić online, jak również przeprowadzić szkolenia w tej samej opcji. Po pandemii podróże służbowe i szkolenia na pewno będą ograniczone, choć trzeba przyznać, że to był atrakcyjny bonus.

Teraz mamy więcej czasu, ponieważ nie prowadzimy życia towarzyskiego. Jest to okazja, żeby zadbać o swoje zdrowie, lepszą formę fizyczną, mające wpływ na nasze samopoczucie i jakość życia. Jak się okazało, choroba covid-19 ciężko przebiega u osób otyłych, ponieważ nadmierna otyłość powoduje inne schorzenia, które przyciągają koronawirus.

Czas najwyższy zadbać o zdrowie i kondycję! Jeśli ktoś, oczywiście, jeszcze tego nie zrobił ■



AKCJA OMON-U I TAJNIAKÓW W MIŃSKU. 19 CZERWCA BR.

Nasilanie się represji

Rośnie liczba więźniów politycznych i represjonowanych.

Władze uznały, że długie kolejki do podpisania list poparcia dla opozycyjnych wobec Łukaszenki kandydatów na prezydenta to nielegalne zgromadzenia. Są one przerażone postawą swoich obywateli i realną utratą władzy, stąd działania represyjne.

Oto niektóre fakty. 75 dni w areszcie spędzi lider chadeków Paweł Seweryniec. Status więźnia politycznego otrzymał Andriej Nowik ze sztabu wyborczego Swietłany Tichanowskiej. Aresztowano go 6 czerwca we wsi Prusy za „udział w pikiecie" – zorganizowanie miejsca, gdzie zbierano podpisy na liście poparcia.

Rozpoczęło się polowanie na blogerów. W więzieniu przebywa Siergiej Tichanowski. 15 dni spędzi w areszcie Władimir Cyganowicz (MozgON). Taka sama odsiadka czeka blogerów Eduarda Palczysa i Nikołaja Masłowskiego.

Na 15 dni aresztu ponownie skazano lidera partii „Narodnaja Hramada" Mikołę Statkiewicza.

W Nowopołocku Jelenę Radkową ukarano wysoką grzywną za złożenie podpisu na liście poparcia. Kolejkę, w której stała, uznano za nielegalną pikietę.

Fuzja po białorusku

Władze przejęły kontrolę nad białoruską filią Gazprombanku.

Narodowy Bank wprowadził tymczasową administrację w Belgazprombanku, filii rosyjskiego banku. Przez 20 lat był zarządzany przez Wiktora Babarykę, obecnego rywala Łukaszenki w wyborach prezydenckich. Babaryko 12 maja zrezygnował z funkcji szefa banku. W dn. 11–13 czerwca funkcjonariusze służb przeszukali siedzibę główną i sieć regionalną. Zatrzymano 15 osób. Służby finansowe poinformowały, że mają dowody przestępczej działalności Babaryki. Ponad 99% akcji Belgazprombanku należy do rosyjskich firm – Gazprom i Gazprombank.

– Białoruś się obudziła. Nowa Białoruś usunie resztki starego reżimu – powiedział Babaryko. Prześladowania b. kolegów rozpoczęły się, gdy jego sztab wyborczy ogłosił, że zebrał rekordową liczbę podpisów dla alternatywnego kandydata na prezydenta.

Babaryko próbuje zbudować szeroką koalicję z udziałem różnych sił.

Został zatrzymany i przebywa w areszcie.

W skrócie

Sprawozdawca PE ds. Białorusi Petras Ausztreviczius zwrócił się 8 czerwca do Komisji Europejskiej z prośbą o zdecydowaną odpowiedź na represje władz RB wobec społeczeństwa obywatelskiego.

Administracja USA jest zaniepokojona zatrzymaniem kandydata na prezydenta Białorusi Wiktora Babaryki.

Obrońcy praw człowieka uznali aresztowanych i oskarżonych w „sprawie Tichanowskiego" za więźniów politycznych.

Zniesiono 2-tygodniową kwarantannę dla przybywających z 37 krajów, w tym z Polski. Jednak na granicy trzeba przedstawić negatywny wynik testu na koronawirus.

Rosja i Białoruś podpisały umowę o wzajemnym uznawaniu wiz. Cudzoziemcy, mający wizę białoruską albo rosyjską, będą mogli wjechać, wyjechać i przebywać na terenie tych państw w okresie ważności wizy.

Trwają prace restauracyjne w siedzibie Rejtanów w Hruszówce (obw. brzeski), które zostaną sfinansowane w ramach współpracy transgranicznej „Polska-Białoruś-Ukraina 2014 -2020".

W Niemnie 13 czerwca znaleziono ogromne ilości śniętych ryb. Tak się dzieje co roku o tej porze. Prawdopodobnie po deszczach spływają do rzeki chemikalia używane do opryskiwania roślin.

PRZYGOTOWAŁA WANDA ROMAŃCZUK



ANDRZEJ DUDA I DONALD TRUMP PRZED BIAŁYM DOMEM

Prezydent w USA

W dn. 24 czerwca prezydent RP Andrzej Duda złożył wizytę w Białym Domu.

Przywódcy rozmawiali głównie o współpracy militarnej, gospodarczej, energetycznej i w zakresie telekomunikacji. Efektem spotkania było podpisanie wspólnego oświadczenia o pogłębianiu współpracy obronnej. „Wyrażamy szczególne zadowolenie z rozpoczęcia nowego rozdziału w naszej współpracy energetycznej poprzez partnerstwo na rzecz rozwoju polskiego sektora cywilnej energii jądrowej" – czytamy w niej.

Padła deklaracja o „możliwości zwiększenia obecności wojsk USA w Polsce", jednak bez konkretów. – Podpisaliśmy dwie deklaracje, aby zwiększyć naszą współpracę w zakresie bezpieczeństwa, potwierdziliśmy wagę naszego sojuszu – powiedział Trump po spotkaniu.

Ustalono m.in., że USA i Polska będą współpracować przy opracowywaniu szczepionki przeciwko koronawirusowi.

A. Duda podkreślił wagę spotkania w Białym Domu. – Polska jako pierwszy kraj po pandemii jest zaproszona do Białego Domu, by rozmawiać o kwestiach przyszłości.

Konwój z pomocą

To był największy w historii III RP konwój z pomocą humanitarną dla Białorusi.

Wjechał na Białoruś 8 czerwca. Blisko 300 ton sprzętu i środków medycznych znajdowało się w ponad 40 ciężarówkach należących do straży pożarnej, granicznej i policji. Pięć mln maseczek, w tym 1 mln maseczek medycznych i 4 mln maseczek ochronnych, 250 tys. litrów płynu dezynfekującego, 30 respiratorów, 50 tys. fartuchów, 20 tys. przyłbic oraz 21 tys. opakowań leków trafiło m.in. do szpitali obwodu grodzieńskiego i Mińska. Wartość przekazanej przez Polskę pomocy wynosi ponad 11 mln euro.

Pomoc zorganizował rząd RP. Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michał Dworczyk żegnając konwój powiedział, że choć Polska podobnie, jak wszystkie kraje świata, zmaga się z pandemią, to jednak dzieli się z przyjaciółmi tym, co ma. Pierwszy konwój z pomocą humanitarną przybył na Białoruś z Polski pod koniec kwietnia.

W skrócie

28 czerwca br. odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich.

Wg danych GUS 2 106 101 cudzoziemców mieszkało w Polsce 31 grudnia 2019 r.

Lekarze apelują, by nadal utrzymywać dystans społeczny, często myć i dezynfekować ręce oraz nosić maseczki w miejscach skupisk ludzi.

Pielęgniarki, które straciły życie wykonując zawód w czasie epidemii, będą odznaczone przez Naczelną Radę Pielęgniarek i Położnych ich najwyższym wyróżnieniem – statuetką Cierpiącym Przywrócić Nadzieję.

Naukowcy z Politechniki Wrocławskiej skonstruowali śluzę do dezynfekcji personelu medycznego, by lepiej go chronić przed zakażeniem koronawirusem. Po wykazaniu skuteczności projekt zostanie udostępniony za darmo.

Podlaska Administracja Skarbowa przekazała 8 tys. litrów alkoholu z przemytu na walkę z koronawirusem.

Ministerstwo zdrowia podało, że rocznie z powodu chorób wywołanych paleniem papierosów umiera 70 tys. osób.

Brytyjska grupa supermarketów Tesco za 819 mln zł. sprzedaje swój polski oddział.

PRZYGOTOWAŁA
ANNA MALINOWSKA

Piotr Michałowski

Polski malarz, przedstawiciel romantyzmu. Organizator życia społecznego i gospodarczego, mąż stanu.

Ur. 2 lipca 1800 r. w Krakowie. Człowiek wszechstronnie wykształcony. Studiował nauki matematyczno-przyrodnicze, ekonomiczne i humanistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz na uniwersytecie w Getyndze. W ll. 1823-30 zajmował się organizacją hutnictwa w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu w Warszawie. Bywał w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie rysował kuźnie, kowali, mieszczan. Ożenił się z Julią Olimpią Ostrowską, córką hr. Antoniego Ostrowskiego. Miał z nią siedmioro dzieci.



Autoportret malarza. Ok. 1840 r.

Po powstaniu listopadowym, podczas którego zajmował się nadzorem produkcji broni i amunicji, wyjechał do Paryża. Tam poznał malarstwo najlepszych mistrzów. Po powrocie do Polski (1837) zamieszkał w Krzysztoforzycach k. Krakowa. W ll. 1848-53 był prezesem Rady Administracyjnej miasta Krakowa. W 1848 r. ufundował Zakład św. Józefa dla Osieroconych Chłopców w Krakowie, działający do 1950 r.

Znakomity malarz koni, scen batalistycznych, portretów, scen rodzajowych z życia wsi. Wiele kompozycji poświęcił epopei napoleońskiej oraz dziejom oręża polskiego. Pozostawił ponad 1000 rysunków i akwareli. Obrazy odznaczają się dużą ekspresją, znakomitą kolorystyką, doskonałym rysunkiem i szkicową fakturą malarską. Zachwycał się nimi Pablo Picasso podczas pobytu w Warszawie.

Zm. 9 czerwca 1855 r., pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

To jedyny polski malarz, obraz którego znajduje się w słynnym paryskim Luwrze.

Aleksander Wolszczan

Astronom, odkrywca pierwszych planet poza naszym układem planetarnym.

Ur. 29 kwietnia 1946 r. w Szczecinku. Studia astronomiczne ukończył na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Od 1982 r. w USA, jest profesorem Pennsylvania State University. Wykładał także na macierzystej uczelni UMK (1994-2008). Inicjator utworzenia w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Szczecińskiego Zakładu Astronomii i Astrofizyki i objął honorowe kierownictwo zakładu. Członek wielu stowarzyszeń naukowych, m.in. Polskiej Akademii Nauk, American Association for the Advancement of Science, American Astronomical Society, International Astronomical Union, Polish Institute of Arts and Sciences of America.



Aleksander Wolszczan

Odkrycie planet poza układem słonecznym, ogłoszone na zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego w 1992 r., jest uznawane za jedno z najważniejszych w historii współczesnej astronomii, które zapoczątkowało intensywny rozwój nowej dziedziny. Otrzymał za nie nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Wyniki jego badań były wielokrotnie publikowane w *Nature*, *Science* i in. prestiżowych czasopismach.

Profesor jest też laureatem nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, nagrody Beatrice M. Tinsley przyznawanej przez American Astronomical Society, oraz wielu in. nagród i wyróżnień. Podobizna Wolszczana znalazła się na znaczku z serii „Polskie Milenium” wyd. przez Pocztę Polską. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (1995). W 1998 r. znalazł się na liście 25 odkrywców wszech czasów.

Przygotowała
Wanda ROMAŃCZUK

Bitwa pod Grunwaldem

Zaliczana do jednej z największych bitew średniowiecznej Europy.

Rozegrała się 15 lipca 1410 r. w ramach wielkiej wojny z Zakonem Krzyżackim, którą Zakon wypowiedział Władysławowi Jagielle w sierpniu 1409 r., gdy ten poparł księcia Witolda w jego konflikcie z Krzyżakami o Żmudź. Krzyżacy zaczęli wielką wojnę od najazdu na ziemię dobrzyńską. Rozpoczynając wojnę z Polską Zakon wstrzymał swoje działania na Żmudzi i plany wyprawy na Litwę. Okazało się, że Krzyżacy nie są przygotowani do wojny z królem polskim, dlatego zawarli rozejm.

Po zakończeniu rozejmu Jagiełło zaatakował Malbork. 9 lipca połączone siły króla i księcia Witolda znalazły się na terenie państwa zakonnego. Bitwa rozegrała się na polu między Grunwaldem a Stębarkiem. Po stronie Jagiełły walczyło 30 tys. ludzi, po stronie Zakonu ok. 15 tys. Po stronie polsko-litewskiej wzięły też udział oddziały lenników Jagiełły i Witolda: Tatarzy dowodzeni przez chana Dżalal ad-Dina oraz siły mołdawskie. W starciu poległ wielki mistrz Ulryk von Jungingen. Po tym spektakularnym zwycięstwie Jagiełły wiele pruskich miast chciało złożyć królowi przysięgę wierności. Jednak król nie podjął żadnych decyzji, mimo że opanował znaczną część Prus. 25 lipca sprzymierzone wojska dotarły pod Malbork, jednak Krzyżakom udało się przetrzymać 2-miesięczne oblężenie. Po tym czasie wojna zaczęła powoli zmierzać ku końcowi.

Zwycięstwo nad Krzyżakami nie stawiało niestety Jagiełły w łatwej sytuacji. Przede wszystkim Krzyżacy mogli liczyć na protekcję papiestwa i cesarstwa. Do wielu ludzi na zachodzie Europy przemawiała ponadto propaganda, szerzona przez Zakon tuż po wojnie. Ostatecznie w grudniu 1410 r. zawarto rozejm w Nieszawie, 1 lutego 1411 r. podpisano traktat pokojowy w Toruniu. Jagiełło odzyskał ziemię dobrzyńską, Witold otrzymał we władanie Żmudź, która miała przejść po jego śmierci do Zakonu.

Jerzy Pilch

Prozaik, publicysta, dramaturg, scenarzysta filmowy.

Ur. 10 sierpnia 1952 r. w Wiśle. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracę nad doktoratem przerwał, by zająć się publicystyką i literaturą.

Na początku lat 80. Pilch zaczął publikować felietony w „Tygodniku Powszechnym” – zyskał opinię jednego z najwybitniejszych polskich felietonistów. Potem pisał felietony do „Polityki”, „Dziennika”, w ostatnich latach – do „Przekroju”.

Pierwszą książkę „Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej” uhonorowano nagrodą Fundacji im. Kościelskich. Powieść „Spis cudzołożnic” doczekała się ekranizacji z brawurową rolą Jerzego Stuhra, a film nagrodzono na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych za scenariusz i dialogi. W 1998 r. otrzymał Paszport „Polityki” za powieść „Bezpowrotnie



EAST NEWS

JERZY PILCH

utracona leworęczność”. Pisarz był siedmiokrotnie nominowany do Literackiej Nagrody Nike. Po nominacjach m.in. dla „Monologu z lisiej jamy”, „Tezach o głupocie, piciu i umieraniu”, „Pod Mocnym Aniołem” (2001) otrzymał Nike.

Przeprowadził się do Warszawy, gdzie ukazała się powieść „Miasto utrapienia” (2004), jeden z jej wątków został rozbudowany w dramacie „Narty Ojca Świętego”. Potem ukazał się zbiór opowiadań „Moje pierwsze samobójstwo” i powieść – „Marsz Polonia”.

Pisarz o równie ironicznym, co czułym spojrzeniu na niedoskonałości tego świata i kondycję ludzi. Czytelnicy rozchwytują jednak kipiące od prześmiewczych spostrzeżeń książki Pilcha, które przywołują na myśl aurę prozy Gombrowicza, Konwickiego, Głowackiego, ale również Hrabala czy Kundery. – A pisać bez wiary, że pisanie zmieni świat, niepodobna. Książek nie czyta się po to, aby je pamiętać. Książki czyta się po to, aby je zapominać, zapomina się je zaś po to, by móc znów je czytać – mówił Pilch.

Pisarz cierpiał na chorobę Parkinsona. Zm. 29 maja br. w Kielcach.

PRZYGOTOWAŁA
ANNA MALINOWSKA

Już na wakacje

W związku z pandemią szkoły społeczne przy ZPB przeszły od drugiej połowy kwietnia na nauczanie online. W takim też trybie odbywały się liczne konkursy, a nawet festiwale, w których zawsze aktywnie uczestniczyli uczniowie szkół społecznych. Jeżeli pewne przedsięwzięcia i odbywały w realu, to w bardzo okrojonym składzie z zachowaniem wszelkich zasad, które obowiązują podczas epidemii oraz na otwartym powietrzu. Wideokonferencja z udziałem Pierwszej Damy RP Agaty Kornhauzer-Dudy, w której uczestniczyli nauczyciele i uczniowie z całej Białorusi, zakończyła ten niezwykły rok szkolny.

Podczas spotkań w Mińsku i Grodnie laureaci konkursów otrzymali dyplomy i nagrody. W Mińsku spotkanie odbyło się przy pomniku Adama Mickiewicza. Podczas niego nagrodzono uczniów z Mińska i wschodniej części Białorusi. W Grodnie na dziedzińcu Konsulatu Generalnego RP gratulacje składano laureatom z Grodzieńszczyzny. Uczniowie mają już wakacje. Realne!



Mińsk. Podczas wręczania nagród i dyplomów dla laureatów konkursów, organizowanych przez ZPB. Nagrody wręczają prezes ZPB Andżelika Borys i konsul RP w Mińsku Kamil Zych. 20 czerwca br.

Iness Todryk-Pisalnik



Irena Waluś

Konferencja online z udziałem Pierwszej Damy RP Agaty Kornhauser-Dudy oraz ministra Adama Kwiatkowskiego z okazji zakończenia roku szkolnego w szkołach społecznych ZPB



Irena Waluś

Konsul generalny RP w Grodnie Jarosław Książek wręcza nagrodę Dymitrowi Sielile, laureatowi licznych konkursów międzynarodowych



Irena Waluś

W imieniu rodziców podziękowanie prezes ZPB Andżelice Borys i konsulowi generalnemu RP Jarosławowi Książkowi składa Danuta Cydzik



Irena Waluś

Podczas uroczystości w Grodnie w dn. 26 czerwca 2020 r.



Irena Waluś

Prezes oddziału ZPB w Wołkowysku Maria Tiszkowska odbiera nagrodę dla swoich uczniów



Irena Waluś

Dyrektor PSS przy ZPB im. Króla Stefana Batorego przy ZPB Danuta Karpowicz gratuluje uczniom sukcesów

Nietypowy rok szkolny

Danuta Karpowicz

Patrząc wstecz, śmiało można powiedzieć, że był to bardzo ciekawy rok szkolny, pełen nowych wyzwań, którym staraliśmy się podołać, pełen osiągnięć i sukcesów naszych nauczycieli i uczniów. Gdyby się miało jednym słowem określić ten czas nauki, to najbardziej, wydaje mi się, pasowałoby słowo rozwój.



Irena Waluś

Wręczenie certyfikatów językowych tegorocznym maturzystom z klas 11 C i 11 D przez dyrektor „Batorówki" Danutę Karpowicz

Każde nauczanie zakłada rozwój uczącego się, a my się staramy ten proces na każdy sposób wesprzeć. Nie ma rozwoju ucznia bez rozwoju nauczyciela, dlatego nasi pedagodzy podróżowali, brali udział w konferencjach, wycieczkach, warsztatach i spotkaniach. Uczniowie, mając dobry przykład, byli również bardzo aktywni: każdy wyjazd edukacyjny, konkurs, każda olimpiada miały odzew wśród młodzieży. Nie da się ukryć, że bez pracy i pomocy pedagogów dzieciom i młodzieży trudno by było osiągnąć takie sukcesy, którymi teraz możemy się pochwalić. Są to liczne udziały i wygrane oprócz konkursów szkolnych w konkursach krajowych i międzynarodowych. Są to zwycięstwa m.in. w konkursach, organizowanych przez krakowskie Centrum Młodzieżowe im. dr. Henryka Jordana, tegorocznej maturzystki Ilony Omelczenko za „Wywiad z osobą pamiętającą dawne czasy", III miejsce za napisanie bajki dla 4-klasistki Aleksandry Korolczuk; III miejsce w konkursie „Być Polakiem" dla Dymitra Sieliły za nakręcenie filmu. Dymitr Sieliło jeszcze dwukrotnie stał się laureatem dwu innych konkursów: Literackiego Konkursu Wielkanocnego, zorganizowanego przez Dział Szkolny Federacji Polskich w Wiktorii oraz Polskie Towarzystwo Edukacyjne (Australia), a także konkursu „Historia najnowsza Polski w poezji dzieci i młodzieży", zorganizowanego przez IPN Oddział w Białymstoku. Agnieszka Komincz, koleżanka Dymitra z klasy, zajęła II miejsce w II etapie Olimpiady Historii Polskiej, mając najwięcej punktów wśród uczestników z Białorusi. Daria Hlebowicz, tegoroczna maturzystka, stała się laureatką krajowych eliminacji konkursu recytatorskiego im. Adama Mickiewicza „Kresy 2019", podczas kolejnego – międzynarodowego etapu, reprezentując Białoruś, zdobyła wyróżnienie. To są większe sukcesy młodzieży, a ile było tych mniejszych, a jakże ważnych dla tych, którzy przyszli do PSS im. Króla Stefana Batorego przy ZPB w Grodnie po wiedzę, którzy zaufali nauczycielom, że będą się dzielili najlepszym, co mają: miłością, szacunkiem, zamiłowaniem do słowa polskiego, jakże bogatego dziedzictwa kultury, historii polskiej.

Nie tylko nauką żyła szkoła w ciągu roku szkolnego: organizowaliśmy spotkania i występy z okazji świąt narodowych, wieczór andrzejkowy i niewątpliwie najważniejsze dla maturzystów wydarzenie – studniówkę! Wzięliśmy udział w czytaniu „Dobrej Pani" Elizy Orzeszkowej w ramach Narodowego Czytania. Nie sposób wymienić wszystkich przedsięwzięć, zorganizowanych przez szkołę i ZPB w których zabłysnęli uczniowie „Batorówki". Oprócz nagród rzeczowych, którymi byli hojnie obdarzani, otrzymywali nagrody w postaci spotkań np. z Pierwszą Damą, premierem Rzeczypospolitej, wicemarszałek Senatu RP. Rozpoczęcie roku szkolnego swą obecnością zaszczycił minister edukacji narodowej RP, skończyliśmy zaś konferencją z udziałem Pani Prezydentowej.

Covid-19 trochę pokrzyżował plany szkoły. Musieliśmy zrezygnować z wyjazdów, wymian, imprez na szeroką skalę, z nauczania w salach szkolnych. Po przejściu na nauczanie zdalne szkoła jednak nadal działała prężnie. Dzięki wytężonej pracy nauczycieli uczniowie mieli możliwość do kontynuacji nauki i rozwoju w zakresie wszystkich wykładanych przedmiotów ■



Żołnierze sowieccy w Wilnie. 13 lipca 1944 r. Fot. Iwana Szagina

Walki o Wilno w lipcu 1944 r. w opowieściach świadków



Mieczysław JACKIEWICZ

Pierwszy dzień powstania wileńskiego w lipcu 1944 roku po latach – w 2000 r. – opisał Jerzy Jensz w tygodniku wileńskim „Czas". Przez gońca otrzymał wiadomość, że 6 lipca o godzinie 18. ma się zgłosić w podwórzu sióstr benedyktynek, gdzie dostanie przydział do jednostki i zadania bojowe.

„Gdy wszedłem w otwartą furtę – pisze J. Jensz – spotkałem porucznika „Sława", który przekazał rozkaz kapitana „Kmity", mianujący mnie dowódcą plutonu osłony Komendy Dzielnicy „D" i polecił natychmiastowe przystąpienie do jego organizacji.

…Ulicą Benedyktyńską – pod górę, dochodzę do rogu Wileńskiej: silny ostrzał całego pasma ulicy Wileńskiej, idący z narożnika Żeligowskiego, otwarty przez kompanie „Wita". Niemcy, kryjący się w załomach ścian, odpowiadają z broni maszynowej.

…Na Wileńskiej, przy skwerze, leży martwa dziewczyna, głowę wsparła na murku ogrodzenia, włosy spływają rozsypującą się kaskadą z murku na brudny chodnik. Nogi na krawężniku, podwinięta sukienka odsłania kolana, zrzucony upadkiem pantofelek leży na boku, na jezdni, ukazując we wnętrzu błyszczący znak firmowy.

Wśród ostrej palby karabinów, jazgotliwego szczekania pistoletów maszynowych i głuchego huku rozrywających się granatów, tylko Moniuszko milczy i spokojnie, z cokołu, spogląda na martwą twarz dziewczyny. (…)

Znowu Wileńska – nadbiega wsparcie niemieckie w sile chyba dwóch kompanii, naciera na „Wita" – zanika ogień z gmachu starostwa przy Żeligowskiego – czy „Wit" już rozbity? – Milczy! Może partyzanckim sposobem po prostu zniknął, by z innego miejsca znienacka uderzyć.

Padł pojedynczy strzał z okna Szkoły Handlowej – leży trafiony żołnierz niemiecki tuz przy stopach dziewczyny.

Rozwścieczeni hitlerowcy zasypują zapalającymi pociskami budynki szkół zawodowych. Już płonie cały ciąg kamienic od Żeligowskiego po Poznańską…

Obraz bestialskiego niszczenia ukochanego miasta jak ostry zadzior tkwi w pamięci i wyrwać go nie sposób mimo upływu tylu już lat".



Podczas działań wojennych wysadzono Zielony Most



Ulica Kolejowa w Wilnie na zdjęciu Jana Bułhaka. 1944 r.

Inny mieszkaniec ówczesnego Wilna, syn b. rektora Uniwersytetu Stefana Batorego, także żołnierza Armii Krajowej, Wacław Dziewulski, w „Naszej Gazecie" z 2001 r. zamieścił wspomnienia z pierwszego dnia walki z Niemcami w śródmieściu Wilna. „W dniu ataku oddziałów AK na Wilno stawiłem się przy ul. Alei Róż – pisze W. Dziewulski. – Z balkonu opuszczonego mieszkania obserwowałem rajdy myśliwców na odległe wschodnie przedmieścia atakowane przez AK. U naszych stóp niemiecka formacja pancerna przetaczała się ulicą Zawalną w kierunku północnym. Zastanawialiśmy się, dlaczego AK nie atakowała miasto od słabo strzeżonej strony zachodniej. Strzelanina na odległych przedmieściach słabła, zanikała… Byliśmy bezradni i niepotrzebni.

Wraz z grupą znalazłem się przy ulicy Jakuba Jasińskiego jako ochrona sztabu AK śródmieście. Nad ranem Niemcy wysadzili most na Zwierzyniec. Całe okno z futryną wdmuchało do środka. Spaliśmy na podłodze jak szprotki, a pierwszy impet uderzenia przejęły meble. Rano jako obserwator stałem we wnęce domu w pobliżu skrzyżowania i byłem zdumiony pustką i ciszą. W perspektywie ulicy pojawiła się sylwetka wędrująca w moją stronę. To moja starsza siostra Aniela (ps. Krystyna) organizująca łączność sztabu przeszła linię frontu w śródmieściu, aby nawiązać kontakt pomiędzy rozdzielonym dowództwem.

Wyszedłem na zwiad. Przez daszki składzików przedostałem się na ulicę Podgórną. Zbliżałem się do placyku (Napoleona) u zbiegu ulic. Kilku wojskowych wpatrywało się w niebo nad Górą Bouffałową; narastał warkot nadlatującego samolotu. Z transportowca, lecącego na „zerowej" wysokości, obsługa wyrzucała pojemniki ze spadochronami. Jeden z nich uderzył o bruk i na jezdnie wysypały się automaty i taśmy do karabinów maszynowych. Wróciłem, by zdać relację. Zapadła decyzja o rozproszeniu się, bo znaleźliśmy się na linii frontu.

Znaną mi drogą przeszliśmy we trójkę na zupełnie pustą ulice Sierakowskiego. Za skrzyżowaniem z ulicą Piaskową i Lubelską zastaliśmy na ulicy mieszkańców tych budynków, które znajdowały się pomiędzy ulicą i krawędzią wysokiego brzegu Wilii. Okazało się, że oddział bardzo młodych żołnierzy usuwa mieszkańców, aby w oknach, z widokiem na nisko leżący Zwierzyniec za Wilią, instalować gniazda karabinów maszynowych. Włączono nas do kolumny i wszystkich odprowadzono do nowego budynku Ubezpieczalni Społecznej przy ulicy Mickiewicza za placem Łukiskim.

Pomieszczenia poniżej ulicy były już zapełnione. Tłumy wysiedlanych ze strefy obronnej nad Wilią wypełniały następne kondygnacje. Zorientowaliśmy się, że podoficer, dowodzący kilkoma żołnierzami jest całkowicie bezradny. Zaproponowaliśmy pełnienie służby porządkowej. W aptece znalazły się białe fartuchy. O kierowanie pomocą lekarską prosiłem, dobrze mi znanego prof. Legiżyńskiego.



CZERWONOARMIŚCI W CENTRUM WILNA. 13 LIPCA 1944 R.

Węzły sanitarne już zablokowane. W instalacji centralnego ogrzewania resztka drogocennej wody. Stały dyżur przy jedynym zaworze wodnym. Już są biegunki, ranni. Ruszyła sala opatrunkowa, a wnet i „sala operacyjna". (…)

Na wyższym piętrze, pomieszczenia „Arbeitsamtu" w nienaruszonym stanie. Do pedantycznie złożonej flagi ze swastyką zebrałem komplet pieczątek i blankietów; a może Niemcy jeszcze wrócą?

Na drugim piętrze rozmawiałem z podoficerem, dowódcą obiektu. Raptem z ram wyskoczyły wszystkie szyby zaszklonej ściany pięciopiętrowej klatki schodowej. Niagara szkła! Pocisk artyleryjski zabił żołnierza, który na zapleczu drzemał na ogrodowej ławce. Są ranni. Osobę w bardzo ciężkim stanie wojskowa sanitarka ma zabrać do szpitala wojennego przy ulicy Zakrętowej 23.

Ze względu na ostrzał sowieckie samoloty leciały równolegle do ul. Mickiewicza, bombardując podwórza domów. Dyżur przy jedynym kranie w piwnicy stawał się dramatyczny, bo zdesperowanym zawodziły nerwy. Zbliżał się szybko warkot samolotu i wybuchy bomb… Ludzie zesztywnieli. Kryj się! Schowałem się za betonowy filar. Odłamki siekły ściany przez okienka pod sufitem sutereny. Udało się.

Od strony katedry dał się słyszeć warkot silnika i chrzęst gąsienic. Przerwa, napięcie rosło. Stojąc w głębi parteru widziałem smugi świetlistych pocisków na przemian czołgu i działka przeciwpancernego, stojącego pod budynkiem sądów (ostatnio: gestapo), vis a vis Łukiszek. Czołg po serii strzałów przemieszczał się do przodu; minął budynek Ubezpieczalni i po chwili płonął. Wszedłem na II piętro. Upewniłem się, że nie ma strzelców wyborowych i obserwowałem bitwę kolejnych czołgów radzieckich z niemieckim działkiem przeciwpancernym. Gdy po oddanej serii czołg przesuwał się do przodu, to obsługa działka wyskakiwała zza narożnika i oddawała serię, by za chwilę zniknąć za narożnikiem. Drugi czołg płonął, a jego wybuch sprawił, że część żelastwa wpadła przez witrynę sklepu do wnętrza budynku. Nierozstrzygnięta bitwa pancerna została przerwana: walki trwały zaś w śródmieściu, na innych odcinkach frontu. Piwnica zaalarmowała, że przy kranie z resztką wody jakiś dramat. Postarałem się o trzech silnych pomocników dla dyżurnego.

Wezwano mnie do komendanta. Leżał pobladły na płaszczu. Wzrokiem i ruchem palców dawał znać, żebym go wysłuchał. Klęknąłem przy nim. Mówił z ogromnym wysiłkiem: na parterze przy schodach w małym pomieszczeniu saperzy umieścili materiał wybuchowy z uruchomionym już zegarem, aby po wycofaniu się żołnierzy wysadzić budynek. Należy przeciąć przewód, aby zegar przestał tykać.



Zacięte walki o Wilno spowodowały duże zniszczenia. Fot. ze zbiorów ITAR-TASS



Zburzone miasto

Po upewnieniu się, że rozumiem, prosił o cywilne ubranie, bo ewakuacji nie przeżyje. Skąd wziąć ubranie? Nie zna języka polskiego! Żołnierze przenieśli go na nosze. Radzą nam wywiesić flagi czerwonego krzyża i zachować ciszę. Przerwa w ostrzale: czujka daje znak i grupa z noszami przebiega przez ulicę Mickiewicza w kierunku budynku PKO. Zostaliśmy na ziemi niczyjej. Cisza wyzwoliła ataki histerii. Punkt sanitarny szykował flagi. Resztki wody znikają. Zbiorowe wsłuchiwanie się w odgłosy odległego frontu gdzieś w śródmieściu.

Cisza potęguje poczucie zagrożenia, bo za wskazanymi drzwiami słychać tykanie zegara. Dobieranie klucza trwało wieki… Wreszcie! Są skrzynki, kable, tykający zegar. Saperskie kable to stalowe linki w izolacji. Scyzoryki zachowywały się jak blacha aluminiowa. Byliśmy zlani potem, bo w budynku na (3/4) kondygnacjach tłum ludzi nieświadomy zagrożenia. A jednak, wreszcie… ostatni drucik linki i zegar ucichł. Na drzwiach umieściliśmy kartkę z napisem w języku rosyjskim: „miny”. Na zapleczu budynku kilka grządek z jarzynami. Wchłonęliśmy te drobiazgi bez mycia.

Znów odgłos silników i gąsienic: napięcie wzrastało. Pojedynek kolejnego czołgu z działkiem zakończył się tragicznie dla obydwu stron; widzę wysiłki rannych, do których żadna ze stron boi się zbliżyć. Drugi z czołgów wycofał się. Niemcy zabrali swoich rannych, obsługa czołgu spłonęła. I znów cisza ziemi niczyjej.

Na zapleczu apteki położyliśmy się pod mocnymi stołami, aby nas chroniły przed ewentualnymi odłamkami tynku. Wreszcie sen. Poczułem szarpanie. Otwieram oczy, a kolega wymownym gestem nakazywał milczenie i wskazywał na okno. Blady świt. Środkiem ulicy Mickiewicza od strony Zwierzyńca ku katedrze wędrowało widmo zwycięzcy. Na karykaturalnie chudej szkapie, stąpającej rachitycznymi krokami, kolebał się śpiący żołnierz w zniszczonym szynelu; karabin na sztukowanym powrozie, a puszka od konserw na drucianym pałączku pobrzękiwała przy każdym kroku półżywego koniska.

Symbol zwycięzcy w świetle wstającego dnia nowej epoki”.

Realistycznie bitwę o Wilno opisał w swoich wspomnieniach „Trzydzieści lat mego pobytu w Wilnie 1914-1944” Zygmunt Fedorowicz, nauczyciel, a w okresie wojny delegat Rządu Polskiego na Okręg Wileński: „Rankiem 6-go lipca wojska rosyjskie dotarły już do przedmieść i tygodniowa bitwa o Wilno się rozpoczęła. Komenda Armii Krajowej proponowała mi ukrycie się w schronie przy kościele św. Jerzego. Miałbym tam zapewnione względne wygody, ale tak się złożyło, że w tym okresie miałem przy sobie najbliższych współpracowników w osobie Wiery Zawiszyny, Wacława Ujejskiego i rektora Ehrenkreutza, dla których już tam miejsca nie było. Zdecydowałem się spędzić krytyczny okres razem z nimi w piwnicy domu uniwersyteckiego przy rogu ulicy Zakretowej i Objazdowej.

Zasiedliśmy w tej piwnicy po-

cząstkowo w kilkanaście osób, ale ludzi ciągle przybywało i w momencie wkraczania Rosjan było nas już około 100. W pierwszych dniach wychodziliśmy jeszcze swobodnie ze schronu, zaglądaliśmy do naszych mieszkań, odwiedzali sąsiednie ulice. W miarę rozwoju wypadków swoboda naszych ruchów stawała się coraz bardziej ograniczona. Niemcy, cofając się z jednej dzielnicy miasta do drugiej, zorganizowali ostateczny opór w Zakrecie i dzielnicy Wielkiej Pohulanki. Dom, w którym był nasz schron, został zamieniony na bunkier obronny. W piwnicy siedzieli cywile, m.in. kobiety z dziećmi i niemowlętami, a z okien parteru i pietra wyzierały lufy karabinów maszynowych. Na placyku przy cerkwi, gdzie zbiegają się ulice: Zakretowa, Mała i Wielka Pohulanka, stała niemiecka bateria.

Już 6-go lipca rozpoczęły się pożary. Niemcy systematycznie podpalali dom za domem, ulica za ulicą. Za dnia wszystko ginęło w kłębach dymu, ale wieczorem (patrzyłem na to z okien strychu) całe miasto płonęło jak jeden stos.

8-go lipca wyszedłem ze schronu na chwile przed bramę domu, gdzie siedzieliśmy w podziemiu. Po przeciwnej stronie ulicy szedł jakiś oficer z automatem w ręku. Nie wiem, co im powodowało, że przeszedł na moją stronę i wdał się ze mną w rozmowę. Wojska sowieckie okrążyły Wilno od strony północnej i południowej oraz przerwały łączność z Kownem.

– Aber das wird nicht Lange dauert – oświadczył ów Niemiec – łączność przywrócimy i wycofamy się na Kowno.

Przewidywania Niemca nie sprawdziły się. Hitlerowcy nie wydostali się z worka i musieli złożyć broń.

Nasilenie walk stopniowo wzrastało. Od 10 lipca byliśmy już na stałe pod ogniem. Biła w nas sowiecka artyleria, ciskało bomby lotnictwo. Dom drżał w posadach, na ulicy i w podwórzu były głębokie leje od pocisków, ale dziwnym zrządzeniem Opatrzności w sam dom nie trafił ani jeden pocisk.

Postawa Niemców do ostatniej chwili była imponująca: dyscyplina ciągle wzorowa, ład taki, jak w koszarach. Żaden mundur nie był podarty lub zabrudzony, a buty wyczyszczone pastą do glancu. Aprowizowanie oddziałów od-



Żołnierze niemieccy oddają się do niewoli

bywało się przy pomocy zrzutów z samolotu. Na jedwabnym spadochronie opadał kosz, zawierający luksusowe artykuły: chleb, masło, konserwy, dżemy, suche ciasteczka, czekoladę, kawę, herbatę, papierosy, rum.

Dnia 11 lipca do naszego schronu wszedł oficer niemiecki i oświadczył, że z sąsiednich domów do żołnierzy strzelano i że wobec tego będziemy ukarani. Zrozumieliśmy, co to znaczy: kobiety i dzieci zostaną przy życiu, a mężczyźni zostaną rozstrzelani. Trudno było nie brać poważnie tego rodzaju zapowiedzi. A jednak w naszym schronie panował całkowity spokój. Widać było na twarzach powagę, ale nikt nie płakał, nie krzyczał, nie miotał się. Rzecz oczywista, że Niemcy nie zawahaliby się wykonać zapowiedzi, gdyby nie okoliczność, że byli otoczeni. Wiedzieli, że dostaną się do niewoli, a ewentualne ujawnienie trupów ludzi rozstrzelanych miałoby dla nich ciężkie konsekwencje.

W dniach 12 i 13 lipca (w tym czasie wschodnie i północne dzielnice miasta: Śnipiszki, Antokol, Zarzecze, Zwierzyniec były już w rękach sowieckich) nasilenie walk jeszcze wzrosło. Bez przerwy waliły w nas bomby i pociski, ogień karabinów maszynowych ani na chwilę nie ustawał. Późnym wieczorem 13 lipca nagle ogień ucichł. Dozorca domu, w którym był schron, wyjrzał na ulicę i po chwili wrócił z wieścią, że Rosjanie już są. Jakoż w parę minut potem wszedł do schronu oficer sowiecki z kilku żołnierzami. Ujrzawszy stłoczoną gromadę cywilów powiedział:

– *Zdrawstwujtie! My priszli was oswobodit'. Stupajtie po domam.*

Kiedy z mymi towarzyszami wszedłem do domu, gdzie mieszkaliśmy, naprzeciw budynku, gdzie był nasz schron, okazało się, że górne piętro, na którym były nasze mieszkania, jest zrujnowane pociskami artyleryjskimi. Jeszcze tej nocy przenieśliśmy się o piętro niżej do lokalu, który zajmowali jacyś Litwini, którzy zbiegli do Kowna.



Żołnierze AK na ulicach Wilna po zwycięstwie nad Niemcami

Rankiem następnego dnia wyszedłem na miasto, aby zobaczyć, co zostało zniszczone, a co ocalało. Na ulicach walały się jeszcze trupy żołnierzy niemieckich, padłe konie, porozbijane samochody i wozy, tu i ówdzie działo. Całe śródmieście i wiele dzielnic na peryferiach stanowiło jedno pogorzelisko. Część domów byłą zrujnowana pociskami, część wypalona. Naokoło sterczały okopcone mury. Spośród ludności cywilnej ofiar było niewiele. Do paru schronów (np. w domu Pimonowa przy ulicy Mickiewicza) wrzucili Niemcy granaty ręczne i zostało tam sporo trupów i ciężko rannych. Zginął wtedy dr Markiewicz, okulista, a dr Świda został ciężko ranny i po paru dniach zmarł. Niemcy zostawili w Wilnie w magazynach znaczne zapasy żywności, odzieży, urządzenia szpitali itp. Wszystko to stało się zdobyczą Rosjan.

Oddziały niemieckie, ustępujące z miasta, zgromadziły się w lesie Zakreckim. Dalej już iść nie mogli, bo las z trzech stron otoczony jest rzeką Wilią. Wobec tego około 30000 Niemców złożyło broń. Nie chcąc oddać w ręce sowieckie zdobyczy, wybili hitlerowcy nocą około 600 koni, popsuli samochody, motocykle, rozsypali amunicję".

Znany malarz izraelski, Samuel Bak, wilnianin z urodzenia, który wojnę przeżył w Wilnie, tak wspomina Wilno w lipcu 1944 roku: „Walki o każdy dom, ulicę, Zielony Most trwały przeszło tydzień. Niemcy zdecydowani utrzymać się jak najdłużej i spowodować jak najwięcej zniszczeń zostawili w mieście ponad 8 tysięcy poległych żołnierzy...". Dalej wspomina: „Opuszczamy z matką ostatnią kryjówkę w dawnym klasztorze, bombardowanym i częściowo zburzonym. Centrum miasta jest straszliwie zniszczone. Wszędzie widzę skutki ostrzału ciężkiej artylerii i bombardowań. W powietrzu wisi gryzący dym. Ludzie zaczynają wynurzać się z piwnic i schronów, powoli przedzierają się przez gruzy, rozmawiają, często wymieniają uściski i łączą się w małe grupki. Przejście przez zawalone ulice jest trudne, w mieście leżą niewypały, grożące zawaleniem mury, gdzieniegdzie są snajperzy, żądni odwetu partyzanci i żołnierze Armii Czerwonej, po których nie wiadomo czego się spodziewać – sprawiają, że ulice Wilna są puste. Przemykają się po nich tylko niczym cienie pojedyncze lub w małych grupkach pokryte kurzem, niechlujne i potargane postacie, tak jak my spragnione choćby odrobiny zapomnianej wolności".

Wilnianka Teresa Rogala, z domu Garszko, tak wspomina walkę o Wilno w lipcu 1944 roku: „Gdy rozpoczęła się ofensywa, sytuacja w Wilnie jeszcze bardziej się zmieniła. Wilno z cichego zaplecza frontu, pełnego rannych, obandażowanych żołnierzy niemieckich, przeistoczyło się w piekło. (…) Za szkołą na Piaskach, gdzie wówczas był szpital wojskowy dla rannych Niemców, gdzie dalej przebiega ulica Borowa. Tam ojciec znalazł dom, w którym można było wynająć mieszkanie. Przenieśliśmy się do niego z ulicy Wielka Pohulanka. (…) Sielanka mieszczuchów z kamienicy, wśród lasu, zapachu zieleni i śpiewu ptaków, trwała zaledwie 10 dni! Wkrótce zaczęto mówić o wysiedleniu. I faktycznie, przyszedł Niemiec, starszy wiekiem oficer w złoconych okularach i łamaną polszczyzną uprzedził nas, że trzeba wyjść z tego domu, bo tędy „idzie Rus", będą działania wojenne. Żandarmeria ma sprawdzić, czy mieszkańcy opuścili domy. Za nieopuszczenie grozili rozstrzelaniem. Zaczęło się. Rwetes, niepokój, łzy, pakowanie dobytku. Tę noc spędziliśmy w piwnicy. W nocy patrzyliśmy z przerażeniem na płonące Wilno… Rano, gdy ucichło, wszyscy ruszyli na ulicę Antokolską, byle stąd odejść. Szliśmy w kierunku ulicy Antokolskiej, na rogu ulicy Piaski stała armata i żołnierze niemieccy do jej obsługi. Za szkołą, metrów chyba ze 300, mieszkali nasi stryjostwo, tam zatrzymaliśmy się i byliśmy trzy dni, ale kazano nam przejść do pobliskiego schronu w dużej kamienicy. Mama powzięła bohaterską, ale szaleńczą decyzję – pójścia z ulicy Antokolskiej do miasta, by sprawdzić, czy mamy dokąd wracać. Po dwóch dniach naszej obawy o jej los, wróciła. Dom na Wielkiej Pohulance ocalał. Sąsiedzi powitali mamę ze wzruszeniem.

Wśród gruzów, leżących wszędzie zabitych i straszliwej woni gryzącej spalenizny, przedostaliśmy się do śródmieścia. W rzece było wiele płynących trupów zabitych żołnierzy".

Ryszard Filipowicz, mieszkaniec Kolonii Wileńskiej i żołnierz Armii Krajowej, uczestnik wyzwolenia Wilna, tak oto opisuje miasto po sześciu dniach walk z użyciem ciężkiej broni, artylerii, czołgów



PODCZAS OBCHODÓW 75. ROCZNICY OPERACJI „OSTRA BRAMA" W WILNIE. 2019 R.

i naloty bombowe. „Wiele zabytkowych, historycznych budynków spłonęło od bomb zapalających – pisze R. Filipowicz (Klisze pamięci). – Straty sięgały 40% śródmiejskiej zabudowy. Spośród 188 budynków zaliczanych przed wojną do zabytków architektury 81 uległo całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu. W zgliszcza ze sterczącymi kikutami kominów zmieniła się centralna ulica Wielka. Od Świętojańskiej do Niemieckiej, po stronie zachodniej nie ostał się nawet jeden dom. Spłonęła dawna rezydencja Radziwiłłów zwana Kardynalią, gdzie przed wojną była główna poczta, spłonął dom z istniejącą nieprzerwanie od 1805 roku księgarnią Józefa Zawadzkiego, pałac Paca olśniewający przepychem wnętrz, pamiętny króla Jana III Sobieskiego w 1688 roku. Zmieniła się w ruinę zabytkowa siedziba Chodkiewiczów, dom rodzinny Ślendzińskich. Na wschodniej stronie ulicy Wielkiej, od narożnika ulicy Łotoczek zachowało się kilka, mniej lub bardziej uszkodzonych kamienic. Dalej aż do gimnazjum jezuitów pozostały zgliszcza. Spłonęła także część konstrukcji i dach kościoła św. Kazimierza.

Spalona została ulica Rudnicka, w ruinach legły: jedna z najstarszych ulic miasta – Niemiecka, kolegium pijarów przy ulicy Dominikańskiej, gdzie mieściło się przed wojną gimnazjum im. Adama Mickiewicza i im. Juliusza Słowackiego; wschodnia część ulicy Wileńskiej do kościoła św. Katarzyny; cały kwartał getta, dawniej zwany „czarnym miastem", pomiędzy ulicami Rudnicką, Zawalną, Trocką, Dominikańską, Świętojańską. Stare, wąskie uliczki: Jatkowa, Żmudzka. Klaczki, Szklana, Żydowska spłonęły wraz z synagogą.

Zniszczeniu uległo wiele domów wokół dworca kolejowego, pojedyncze domy czy zespoły domów w odległych od centrum dzielnicach. W nurtach Wilii leżały konstrukcje Zielonego Mostu, zatrzymując na swych przęsłach niesione nurtem rzeki rozdęte zwłoki żołnierzy i zwierząt. Rozbite elektrownie nie dawały prądu do czasu, gdy uruchomiono potężne amerykańskie agregaty prądotwórcze, zasłane kotłami parowymi na dwóch dużych specjalnych lokomotywach ustawionych na torach obok wiaduktu przy ulicy Ostrobramskiej.

Na skutek licznych uszkodzeń miejskiej sieci wodociągowej, często brakowało wody, nie usuwano fekalii. Brak było opału, transportu. Brakowało żywności. Życie w mieście stało się trudne, uciążliwe, a często niebezpieczne z powodu rabunków i napadów uzbrojonych, na nic nie zważających sołdatów" ■



ULICA MOSTOWA W GRODNIE

Wycieczka do Grodna odbyta w 1882 roku



ADAM CZESŁAW DOBROŃSKI

Mało pisze się o Grodnie początku lat osiemdziesiątych XIX stulecia. Część jego mieszkańców została po upadku powstania styczniowego poddana ostrym represjom, najbardziej odczuli je ziemianie oraz księża i wierni katoliccy.

Rozbudowano administrację rosyjską i siły bezpieczeństwa, wzmocniono miejscowy garnizon carski (twierdza).

„Noc postyczniowa" sprawiła, że polskość w Grodnie przygasła, zamknęła się w domach, została wyeliminowana z życia publicznego. Coraz bardziej liczna społeczność żydowska – chcąc nie chcąc – swą pozycję gospodarczą („interesy") uzależniała od kontaktów głównie ze społecznością rosyjską. Mało się o tym pisze, ale można postawić tezę, że represje antypolskie (antykatolickie) w dalszej perspektywie odbiły się negatywnie na losach miasta. Grodno nie przeżyło – mimo uruchomienia kolei – *boomu* przemysłowego, co stało się na przykład udziałem powiatowego tylko Białegostoku („Manchester Północy"). Głównymi atutami grodu nadniemeńskiego pozostały niezmiennie piękne położenie i bogata spuścizna historyczna (w tym architektura), natomiast teraźniejszość zdominowały sfery urzędowe, przedsiębiorcy i niezbyt liczna inteligencja. Handel i usługi wykonywano głównie na potrzeby lokalne, rzesze proletariacko-biedniackie zmagały się z zapewnieniem warunków do wegetacji. Przez dziesięciolecia powojenne historycy pasjonowali się przejawami (nikłymi) ruchów rewolucyjnych i wydarzeniami politycznymi, zaniedbując badań nad przemianami w życiu codziennym mieszkańców. Akceptowano postępującą rusyfikację miasta.

Pojawienie się warszawskiej dziennikarki

Aniela Tripplin nie była postacią znaną na warszawskich salonach, w przeciwieństwie do jej stryjka Teodora Tripplina. Najpierw więc kilka zdań o Teodorze, lekarzu wojskowym, uczestniku powstania listopadowego, a potem członku Wielkiej Emigracji, żołnierzu kilku wojen europejskich. Urodził się on prawdopodobnie w 1812 r., był wyznania protestanckiego, poliglotą. W życiu dojrzałym uchodził za jednego z bardziej uczonych arabistów. Przede wszystkim jednak zyskał sławę i duże pieniądze jako autor powieści podróżniczych z wątkami romantycznymi, nawet erotycznymi. Przez jednych okrzyknięty został skandalistą, przez innych światowcem, pisarzem co się zowie. Zmarł w 1881 r. i dość szybko jego twórczość przestała ekscytować czytelników. W cieniu stryjka dorastała Aniela, urodzona w 1842 r., dobrze wykształcona, oczytana i także znająca języki obce. Jako dziennikarka utrzymywała kontakty głównie z pismami kobiecymi (m.in. lwowski „Świt"), z nikłym powodzeniem pisała powieści („Syn księżniczki"), dużo podróżowała, do czego pewnie zachęcał ją i Teodor Tripplin. Z takim nazwiskiem i z wyznaniem „luterskim" nie wzbudziła pani Aniela zastrzeżeń żandarmerii grodzieńskiej, dłuższy pobyt w hotelu Romera zaliczyła tu w 1882 r. Wrażenia z wycieczki po trzech latach wydrukował ilustrowany tygodnik warszawski „Kłosy", poświęcony literaturze, nauce i sztuce. Pierwszy odcinek ukazał się w numerze 1044, w którym znalazła się również relacja z wielkiego pożaru Grodna.

Uprzedzam, że A. Tripplin była kobietą egzaltowaną, dumną ze swojej edukacji i ogłady towarzyskiej, chętnie odwoływała się do literatury europejskiej oraz cudów architektury. W bardzo obszernej relacji z Grodna jest wiele miłej paplaniny, ale są i spostrzeżenia ważkie, na których skupię swoją uwagę. Jest to w sumie dobra okazja, by przypomnieć Grodno sprzed pożaru z czerwca 1885 r.



Panorama Grodna



Dawna ulica Grochowa

Pierwsze wrażenia pani Anieli

Tekst rozpoczyna się od długiej pochwały podróżowania, bo „Podróż to nadzieja odczytania własnym wzrokiem tej wielkiej księgi mądrości, zwanej światem, przypatrzenia się rozlicznym fantazjom, mistrzowskim cudom natury i arcydziełom sztuki.". Tym bardziej podróż pociągiem, gdyż z okien wagonu jak w kalejdoskopie przewijają się widoki cudne, upajające duszę. Autorka w tę laudację podróży wplotła nawet własne wiersze o egzotycznych wyprawach (Turcja, Wiedeń, Alpy). Ale oto pociąg wjeżdża powoli na „…żelazny, a leciuchny, a powiewny most, zda się jednym dłoni ruchem nad wód głębią utwierdzony". Dodajmy, że ten most grodzieński nad Niemnem został wysadzony w powietrze przez saperów rosyjskich w 1915 roku i w ogóle ma bardzo bogatą historię.

Była godzina czwarta rano, już dało się zauważyć ruch na rzece (flisacy) i wnet wyłoniło się Grodno „ze swemi domy, hotelami, świątyniami i ogrodami". „Nie



WIDOK NA KOŚCIÓŁ FRANCISZKAŃSKI

masz w wagonie ani jednej osoby, która by, spoglądając przed siebie i za siebie, nie zawołała: „Jakież to Grodno śliczne!".

Podobała się bardzo podróżniczce również szeroka ulica prowadząca ze stacji, przecięta parowem Horodniczanki. Po obu stronach ulicy stały szeregiem „…trzyokienne, murowane, bielutkie domki, wskrzeszające pamięć podskarbiego Tyzenhauza, a za niemi poważniej i dumniej piętrzyć się zaczynają pałace i gmachy, przez niego na Horodnicy zbudowane. Na Dominikańskiej ulicy, już inny widok przedstawia się turyście: tu się ukazuje w swej nieubłaganej prozie życie rzeczywiste, codzienne, kupieckie; ale dość wyjrzeć ku Mostowej, lub Zamkowej dzielnicy, aby znowu powitać wzgórza i Niemen".

Miasto wydało się pani Anieli dosyć czyste i jedynie zaułki drażniły nerwy. Powietrze na ulicach było „wyjątkowo zdrowe, a nawet balsamiczne" dzięki ogrodom, bulwarowi, parkowi i wspomnianemu parowowi. Za to bruki zasłużyły u autorki na epitet karkołomne, a jednokonne „drążki" (dorożki) przerażały. Tripplin bardzo pochwaliła oryginalne, drewniane *trotuary* (chodniki), po których „noga ludzka stąpa, jak po posadzce" nie obawiając się ślizgawicy zimą a „rozpalonego ognia" latem. W tym jednak miejscu redaktor „Kłosów" dodał uwagę, że drewniane chodniki bardzo ułatwiły rozprzestrzenianie się pożaru w 1885 r., były jako lonty rozciągnięte od domu do domu. Jeszcze tylko wspomnieć trzeba o „zdrowotnym klimacie", kilkunastu hotelach stosunkowo tanich i dobrze wyposażonych. Miejscowa ludność narzekała natomiast na ceny lokali (jak warszawskie) i produktów.

Wieża Babel

Rankiem przemieszał się ulicami Grodna lud roboczy. Ktoś nagle tu wprowadzony z zasłoną na oczach „…w żaden sposób odgadnąć by nie mógł, w jakiej części świata, czy Europy, się znajduje. Niemiecki, polski, rosyjski, francuski, rusiński [narzecze ukraińskie], litewski, żydowski język, lub dialekt, kolejno się obija o uszy, sprawiając wrażenie nowożytnej wieży Babel. W sklepach, magazynach toż samo: kupiec, zwykle izraelskiego pochodzenia, próbuje kilku dźwięków mowy, zanim natrafi na tę, którą klient jego zrozumie". Dopiero w godzinach popołudniowych pojawiają się na mieście dygnitarze i krezusi, w eleganckich landach, ale i pieszo. Co znajdują? „Ani muzeum, ani biblioteki, ani czytelni, ani porządnej kawiarni z periodycznymi pismami, ani koncertów, ani odczytów, ani stałego teatru – nic, co by mogło w poobiednich lub wieczornych chwilach, tak bogatszym, jak i biedniejszym, życie uprzyjemnić. Podczas letniego sezonu, jedyną szansę zabawy poza ścianami domów stanowi park i bulwar, gdzie od 6-ej do 8-ej rzępolą kędzierzawi basetliści obok wojskowych trębaczy, a drugą przedstawiają wycieczki zamiejskie w prześliczne okolice nadniemieńskie, ku Pohulance, tajemniczemu laskowi, przezwanemu Sekret, Poniemunowi i Augustówkowi, dawnej królewskiej rezydencji Poniatowskiego". Z wycieczkami jednak był kłopot, bo drewniany most kołowy przez Niemen rozsuwano w ciągu dnia, by przepuszczać tratwy i łodzie. Wiosną zaś i jesienią most zastępowano promem, co bardzo utrudniało przeprawę.

Brak godziwych rozrywek sprawiał natomiast, że wielką popularnością cieszyły się rozprawy sądowe. Przedstawiciele Temidy prezentowali się majestatycznie, wiodący spór często nie rozumieli rosyjskiego, odpowiadali „…to rusińskim, to litewskim narzeczem, to żydowskim szwargotem, to miejscowymi prowincjonalizmami". Plagę stanowili fałszywi świadkowie. Autorka ulżyła sobie też na upodobaniu grodnian do plotkarstwa. Jej zdaniem specjalizowali się w tworzeniu „baśniowych opowieści" osoby wykolejone życiowo, a wśród nich: „stare panny, wdowy, rozwódki, nieszczęśliwe mężatki, zrujnowani obywatele, zdymisjonowani urzędnicy, starzy kawalerowie, wdowcy, istoty bez stałego zajęcia i bez jutra".

Przejawy wyższej kultury

Nie ukazywała się miejska gazeta. W księgarni pani Aniela nie znalazła przewodnika po mieście,

w hotelu nie wskazano jej osoby sposobnej do opowiedzenia o zabytkach. „A jednak Grodno jest miastem starożytniejszym daleko od Berlina, Greiz i tylu innych miejscowości zagranicznych…”. W tym miejscu autorka upomniała się o pamięć o dokonaniach podskarbiego litewskiego Antoniego Tyzenhauza, które przykładnie wymieniła. „Do dziś dnia Horodnica, kokietująca ślicznemi ogrodami, pałacykami i domkami, kształtnym budynkiem teatru, imię wielkiego Tyzenhauza wskrzesza; a jednak i o tym nieśmiertelnym mężu zaledwie ci ktokolwiek w Grodnie wybąkać potrafi, że mieszkał w pałacu dziś do gubernatora należącym”. Pożary z lat 1653, 1753 i 1782 dokonały wielu zniszczeń, w dawnym pałacu Czetwertyńskich ulokowano biuro pocztowe, a pałac Lubeckich przejął na własność izraelita Bregman. Dwa zamki, Batorowy i Augusta II „… nic nam dziś wewnątrz nie ukażą prócz obdartych ścian, drewnianych łóżek, stołów i ławeczek przeznaczonych dla żołnierzy”. Pozostało jedenaście cerkwi i cztery kościoły, których autorka nie doceniła pisząc, że można je obejrzeć w ciągu dwóch godzin. Farę pojezuicką pochwaliła za harmonijną proporcję bryły i przedziwnie lekkie wieżyce frontowe, wysokie sklepienie, rzeźby dwunastu apostołów, ławy z oryginalnymi malowidłami i napisami opiewającymi epizody z życia magnatów uzdrowionych przez Madonnę. Wyróżniła jeszcze świątynię Witoldową, zdziwiła się zaś, że brakuje w Grodnie cennych przejawów sztuki sakralnej kalwinów i luteranów, a bożnica choć duża, to mchem porosła. Nie znalazła cudności i na cmentarzu (arystokracja kazała się chować w dobrach rodowych), choć ten usytuowano wdzięcznie i poetycznie na wysokim wzgórzu, wiorstę za miastem. Pozostawał widok na Niemen (most kolejowy był oświetlony różnokolorowymi latarniami), a młodzi często wybierali hazard karciany, zakrapiany.

Miejscowi Żydzi

Autorka wspomnień zaprzyjaźniła się w hotelu z siedemdziesięcioletnią kupcową Dwerką, faktorką i przyjaciółką szlachty, choć niewykształconą i niewyelegantowaną, to szanowaną, zapraszaną do domów obywatelskich, goszczoną podczas uroczystości. Ceniono ją za lojalność („umie milczeć jak grób”), mądre rady i ochotę do niesienia pomocy. „Zna ona cnoty i wady nasze, a że z ułomności naszych nie korzysta, świadczy o tem jej pozycja materialna, granicząca prawie z biedą”. Dwerka dziwiła się, że młodzież szlachecka i ziemiańska traci czas w Grodnie przy zielonych stolikach (karty), w sądach i przy szampanie, „…a potem równie lekkomyślnie narzeka ma tych niegodziwych Żydów nabywających domy i wioski, i obracających kapitałem całej guberni”.

Dwadzieścia lat wcześniej (przed powstaniem styczniowym) o Żydach w Grodnie mówiono „…pobieżnie, często żartobliwie, niekiedy nawet sympatycznie, a nigdy ze strachem ani oburzeniem”. Każdy obywatel (szanowany właściciel ziemski lub miejski) miał swego arendarza – Żyda, „…swego Aronka, lub swoją Dwerkę, za których pomocą sprzedawał zboże, szukał kupca na drzewo, robił sprawunki w mieście itp. Mówiono o nich – dobrzy polscy Żydzi. Na początku lat osiemdziesiątych XIX w. (i później też) na Żydów zdaniem A. Tripplin narzekali w Grodnie wszyscy (prawie wszyscy) nie-semici, bo izraelici (tego określenia wówczas używano) wszystko zagarnęli, rozpijają lud, są lichwiarzami, ciemiężą. „A jeśli deszcz kilka dni z rzędu biczem swym smaga miasto, niejeden z grodzieńszczanów przysiąść gotów, że chmury na horyzoncie zgromadziła żydowska przebiegłość”. Tak „kwestia żydowska stała się nader żywotna” w tak zwanym Kraju Północno-Zachodnim; wcześniej litewskim, a później litewsko-białoruskim, bądź w guberniach litewsko-białoruskich. Dominujący liczebnie Żydzi byli zarówno posiadaczami, jak sługami (wyrobnikami) chwytającymi się każdej pracy. Jak to się stało, że w ciągu 20 lat wyznawcy mojżeszowi zdominowali Grodno? Autorka nie mogła ze względu na cenzurę carską wskazać na przyczyny natury politycznej, napisała jedynie o niezwykłej solidarności środowiska wyznawców mojżeszo-



Synagoga i żydowskie dzielnice w Grodnie



DOLINA SZWAJCARSKA W GRODNIE



ULICA SOBOROWA POD KONIEC XIX W. FOT. ZE ZBIORÓW FELIKSA WOROSZYLSKIEGO

wych oraz ich pracowitości. Można jednak wyprowadzić wniosek, że paradoksalnie na antypolskich represjach carskich w pierwszej kolejności skorzystali właśnie Żydzi.

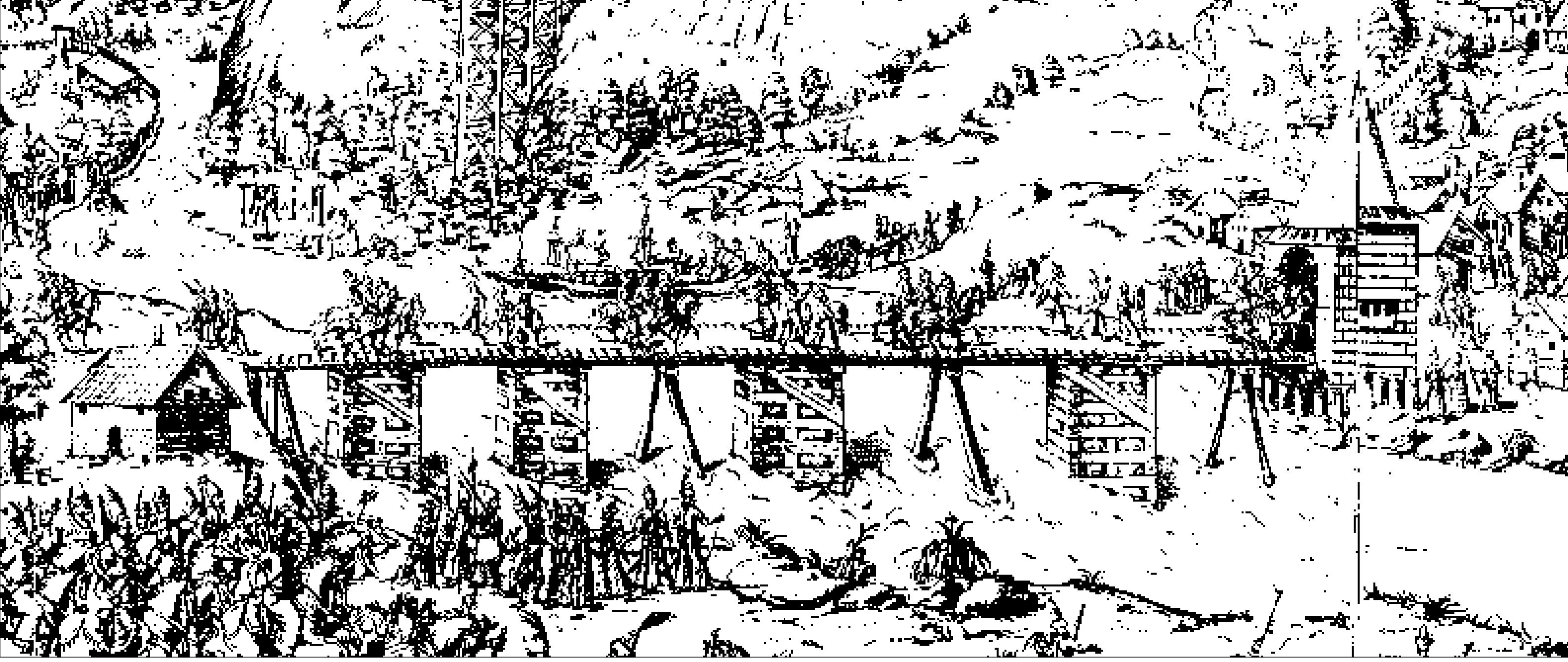
Wspomnienie obywatelstwa polskiego

Jeszcze na początku lat sześćdziesiątych XIX stulecia mieszkali w Grodnie absolwenci Uniwersytetu Wileńskiego, wielce znaczyła obecność rodzin arystokratycznych, w mieście podtrzymywano salony, goszczono artystów (także z Warszawy). To były czasy Erazma Zabłockiego, Emanuela Lachnickiego, ks. Konstantego Czetwertyńskiego, doktora Jana Pileckiego, Teresy Daszkiewiczowej, Kaliksta Orzeszki, marszałków szlacheckich, innych jeszcze animatorów życia oświeconego. A. Tripplin opisała domy otwarte Lachnickich i Kaliksta Orzeszki, starania przedpowstaniowych obywateli grodzieńskich o utrzymanie tradycji. To temat do opracowania przez historyków.

Na początku lat osiemdziesiątych panią Anielę raziło „rozproszenie żywiołów cywilizacyjnych". W Grodnie mieszkali obok siebie dygnitarze, wojskowi, urzędnicy, mieszczanie, bogaci Żydzi oraz inni. Wśród Polaków wyróżniała się wspominana Eliza Oreszkowa i „panna Kościałkowska", czyli Wilhelmina Zyndram-Kościałkowska, o której zupełnie zapomniano. „O stowarzyszeniu żadnem nikt tu nie zasłyszy, chyba o stowarzyszeniu wróbli na dachu, lub kotów nocą po zaułkach obradujących. Stąd wynika, że kto nie przywykł ręki wyciągać pod murem kościelnym, nie wie, do kogo by się udać, w razie koniecznej potrzeby, z prośbą o pomoc, zwłaszcza, jeśli nie jest dostatecznie obeznany z miejscowemi stosunkami".

A jednak zdarzył się w 1882 r. i przypadek godzien pochwały. Pewien czternastolatek, syn biednej wdowy, postanowił o własnych siłach „przebyć nauki gimnazjalne". Zdał egzamin wstępny i uczył się doskonale, choć często musiał zadawalać się kawałkiem suchego chleba. Niestety, nie był w stanie zdobyć 10 rubli na wpis kwartalny, na nic zdały się prośby przedkładane w bogatych domach. W desperacji więc postanowił odebrać sobie życie. Jednak mieszkańcy domu znaleźli go broczącego krwią i odnieśli do szpitala. Kiedy odzyskał przytomność powiedział do lekarza: – „Panie! daremnie mnie ratujesz, bo gdy wyzdrowieję, będę zmuszony uczynić toż samo; żyć bez nauki nie mogę, a nie mam środków na dalsze kształcenie się". Wiadomość o tym zdarzeniu szybko rozeszła się po mieście. „…pani Orzeszkowa i panna Kościałkowska wnet się zajęły składką pieniężną na jego intencję, ze wszystkich stron sypać się zaczęły ofiary, a może i z kieszeni tych, co wzgardliwie wygnali byli z swych podwojów biednego studenta. Przez dni kilka o niczem w Grodnie nie mówiono, tylko o tym wypadku; urzędowi plotkarze zapomnieli o wszelkich innych pogłoskach…". Tak zebrano I60 rubli, ale autorka wyjechała z Grodna i nie wiedziała, czy czternastolatek wyżył i wznowił naukę.

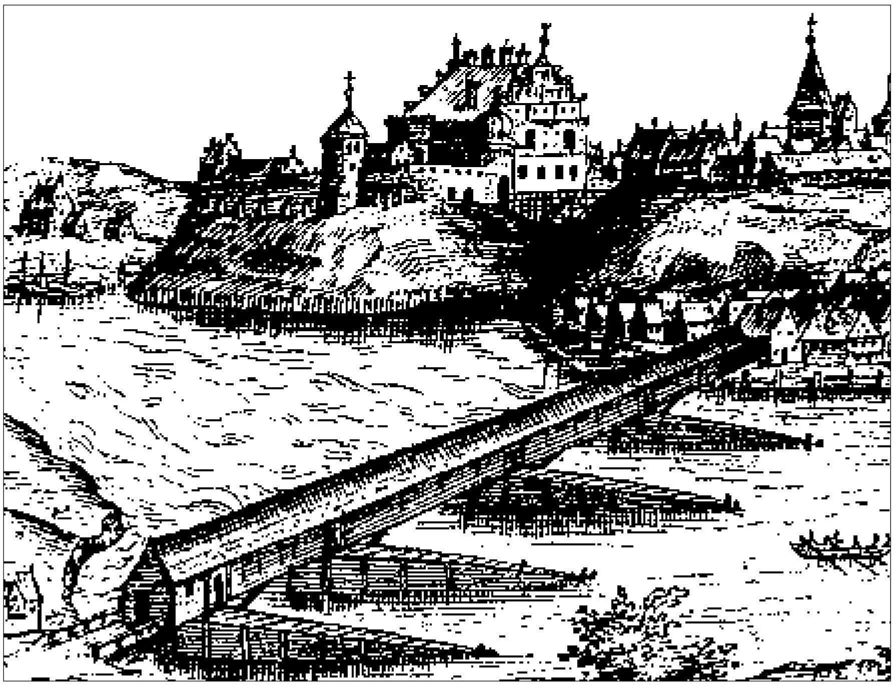
Tekst Anieli Tripplin jest dwukrotnie obszerniejszy, nie zasługuje na miano cennego źródła, ale zachęca do postawienia kilku pytań. A nade wszystko przypomina, że nasza wiedza o Grodnie międzypowstaniowym – lata trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte XIX w. – jest, niestety, uboga ■



Drewniany most na najwcześniej znanym wizerunku Grodna autorstwa Mateusza Zündta. 1568 r.

Historia mostów w Grodnie: od drewnianych do kolejowego

Adam Łojkowicz



Most przez Niemen na miedziorycie Tomasza Makowskiego

Mosty są bardzo ważną częścią historii miasta, zarówno w czasach pokoju jak i podczas wojen. Najważniejsze jest to, że dzięki nim ludziom łatwiej się żyje, bo mogą się uczyć, pracować i prowadzić wszelką działalność po drugiej stronie rzeki.

– Świst pary przerwał mi pasmo mych myśli ze świata przeszłości. Wyjrzałem przez okno wagonu. Był jasny, tchnący świeżością wiosny i chłodem rosy poranek. Dojeżdżaliśmy do Grodna. Pociąg nasz, niby ptak prujący powietrze, przebiegał po wyniosłym moście nad masztami wicin litewskich. W dole wił się w głębokim jarze płowy Niemen, a kilka secin białych drewnianych domków piętrzyło się na urwistych i stromych wybrzeżach rzeki. Na szczęście byłem u kresu niewolniczej podróży kolejowej, bo pociąg nasz, przebywszy szybko most na Niemnie i ogromny przekop góry miejskiej, stanął przed dworcem grodzieńskim – tak rozpoczął swoje opowiadanie o podróży Niemnem jeden z najbardziej popularnych znawców naszej dawnej historii Zygmunt Gloger.

To prawda, że jeden z najpiękniejszych widoków naszego miasta otwiera się właśnie z mostu kolejowego. Lubimy, jadąc pociągiem przycisnąć się do okna, żeby zobaczyć, jak po obie strony rozciąga się srebrna wstęga rzeki.

Najstarszym wizerunkiem Grodna jest wydany w 1568 roku w Norymberdze przez grafika Mateusza Zündta jako miedzioryt rysunku Hansa Adelhausera. Na pierwszym planie panoramy Grodna przedstawiona jest wizyta poselstwa moskiewskiego do Wielkiego Księstwa Litewskiego w czasie wojny inflanckiej. Za nimi roz-



Most kolejowy w Grodnie. Koniec XIX – pocz. XX w. Fot. ze zbiorów Feliksa Woroszylskiego

pościera się wspaniały widok na miasto, malowniczo położone na wzgórzach za Niemnem. Dobrze widać świątynię na Kołoży, Zamek Witolda, drewnianą jeszcze Farę Witoldową, najstarszy ratusz miejski. A lewa i prawa część miasta są połączone solidnym drewnianym mostem. Stoi na tak zwanych „kleciach" – konstrukcjach zrębowych, opuszczonych do wody i wypełnionych kamieniami. Obok tych zrębów są wbite w dno rzeki wielkie pale. Przy zejściu z mostu na lewy brzeg stoi budynek ze spiczastym dachem, według historyków była to komora celna do pobierania podatków od kupców przybywających do miasta. A przybywało ich sporo. Na miedziorycie widać, jak niosą przez most swoje kosztowne towary, m.in. wyroby jubilerskie, ciosy słoniowe, skóry zwierząt futerkowych…

Jednak mosty drewniane na wielkich rzekach nie mogą stać długo – może jakieś dwa czy trzy dziesięciolecia. Kiedy pod sam koniec XVI wieku do Grodna zawitał sztycharz i kartograf Tomasz Makowski, w Grodnie już funkcjonował inny most przez Niemen. W 1600 roku Makowski narysował nasze miasto prawie z tego samego miejsca, co i Adelhauser. Grodno przedstawia się nam już prawie stolicą – renesansowy zamek królewski, murowana Fara Witoldowa i kościół Bernardyński, a przez Niemen do miasta prowadzi pokryty dachem długi i niski most, zabezpieczony od płynącej kry lodowej specjalnymi konstrukcjami kruszącymi lód. Most z roku 1600 jest o wiele bardziej funkcjonalny od tego z rysunku Adelhausera sprzed 32 lat. Ten most się znajdował na najważniejszym szlaku Rzeczypospolitej, prowadzącym z Warszawy do Wilna, którym podróżowali także królowie.

W „Polonii" Szymona Starowolskiego, dzieła wydanego po raz pierwszy w roku 1632, o naszym mieście czytamy: „Grodno zaś, nad rzeką Kronon, czyli Niemnem położone, zamek ma niebrzydki na miejscu bardziej wyniosłym, zbudowany przez króla Stefana, który dość chętnie tu bawił dla łowów grubego zwierza, na przykład łosi, turów, a także niedźwiedzi. Miłościwy natomiast król Zygmunt III mostem Niemen ujarzmił, drewnianym wprawdzie, lecz tak podług prawideł sztuki zbudowanym, że podobnego Polska nie ma".

Sytuacja gospodarcza w Rzeczypospolitej była tak dobra, a znaczenie Grodna jako miasta na szlaku z Warszawy do Wilna tak istotne, że na początku lat 50. XVII wieku sejm zadecydował o wydzieleniu środków na budowanie w Grodnie kamiennego mostu przez Niemen. Niestety wojna z Moskwą i Szwecją zrujnowała gospodarkę Rzeczypospolitej i o tym pomyśle w następnych dziesięcioleciach już nie wspominano.

Oryginalne mosty przez Niemen w Grodnie zostały zbudowane przez Rosjan w 1706 roku. Wojska rosyjskie znajdowały się w Grodnie otoczone przez wojsko króla Szwecji Karola XII. Król spodziewał się, że głodówka w oblężonym Grodnie zdziesiątkuje wojsko rosyjskiego cara Piotra I i ten wejdzie do miasta prawie bez walki. Tak się i wydarzyło, tylko w innych okolicznościach niż planował król. Korzystając z nieobecności Szwedów Rosjanie w kwietniu 1706 roku wybudowali prowizoryczne mosty przez Niemen i w ciągu jednej nocy przeszli na południowy brzeg rzeki zostawiając Karola XII daleko za sobą. Zbudowano te mosty z konstrukcji zrębowych domów, które wypychano na lód i opuszczano pod wodę. Następnie wypełniano konstrukcje kamieniami, kulami armatnimi, kawałkami ołowiu. Później trzeba tylko było położyć na te prowizoryczne filary deski czy bierwiona i już można było przedostać się na drugi brzeg rzeki. Akurat wtedy Rosjanie zatopili w Niemnie armaty, trzy z nich wydobyto z dna rzeki w 1966 r.

Jeszcze jeden ciekawy epizod z dziejów Grodna w XVIII wieku był związany z osobą wielkopolanina Michała Sokolnickiego, znanego działacza wojskowego i inżyniera. W 1792 roku został on kwatermistrzem generalnym armii litewskiej w wojnie polsko-rosyjskiej. Zajmował się budową fortyfikacji, stanowisk artylerii, magazynów. W czerwcu tegoż roku pod Grodnem zbudował z tratw oryginalnej konstrukcji most pływający w kształcie łuku zaklinowanego prądem rzeki Niemen, po którym przeszły cofające się wojska polskie z taborami i artylerią. Pisał później, że idea zbudowania takie-



ZBURZONY PRZEZ ROSJAN MOST KOLEJOWY W GRODNIE. 1915 R.



ODBUDOWYWANIE MOSTU KOLEJOWEGO PRZEZ NIEMCÓW W 1915 R.

go mostu przyszła mu do głowy, kiedy zobaczył łuki jakiejś zrujnowanej świątyni w Grodnie. Może to była Fara Witoldowa, która regularnie cierpiała od pożogi?

Cały XIX wiek obydwa brzegi Niemna w Grodnie były tylko sporadycznie złączane niskim drewnianym mostem na łodziach. Na zimę taki most rozbierano, a wiosną odbudowywano go na nowo. Most znajdował się przy końcu ulicy Mostowej, tam gdzie teraz mieści się plaża miejska i stacja ratownicza. Przeprawa przez rzekę takim mostem była niezbyt bezpieczną przygodą. Najpierw trzeba było podjechać do rzeki stromą ulicą, a później przejechać po wąskim moście, zbitym z namokłych desek. Jednak było to lepszym rozwiązaniem, niż gdyby w mieście nie było żadnego mostu.

Lata leciały i do Grodna dotarł postęp techniczny w postaci kolei żelaznej i pociągów. Już od lat 50. XIX w. budowano kolej od ówczesnej stolicy Rosji Petersburga do Warszawy. Na kolei Petersbursko-Warszawskiej wybudowano aż 35 mostów. Były to przeważnie arcydzieła myśli technicznej tamtych czasów, zaprojektowane przez najlepszych inżynierów francuskich. Kolejowy most przez Niemen powstał w latach 1861-1864, prawie pół wieku przed mostem dla powozów konnych i automobili. Co prawda rada miasta Grodna zabiegała o budownictwo mostu, który jednocześnie byłby kolejowym, dla przejazdu wozów, i pieszych. Ponieważ budowa wielofunkcyjnego mostu spowodowałaby znaczny wzrost kosztów budownictwa – kierownictwo kolei nie wykazało większego zainteresowania tą propozycją.

W celu zmniejszenia kosztów budownictwa podjęto też decyzję o rezygnacji budownictwa tunelu dla pociągów od razu za mostem w rejonie ulicy Jerozolimskiej (teraz Antonowa). Zamiast tunelu został wykopany olbrzymi rów, który możemy oglądać do dnia dzisiejszego. Mianowicie o tym „ogrom-

nym przekopie góry miejskiej" wzmiankuje Zygmunt Gloger na początku naszego opowiadania. Kolejowy most przez Niemen był, jeżeli chodzi o obszar współczesnej Białorusi, pierwszą tak wielką konstrukcją metalową i kosztował aż 200 tys. rubli carskich.

Most został wysadzony w powietrze podczas wycofywania się armii rosyjskiej w 1915 r. Wkrótce saperzy niemieccy zbudowali obok wysadzonego drewniany most kolejowy przez Niemen i wznowili ruch pociągów. W kwietniu 1919 r. niemieckie władze wojskowe wydały ultimatum dla mieszkańców Grodna, domagając się kompensacji za most i grożąc jego wysadzeniem. Niemcy mostu nie zniszczyli. Został on spalony jesienią 1920 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej wraz z sowieckim pociągiem pancernym.

Strategicznie ważny most kolejowy przez Niemen został odbudowany w 1923 r. według projektu inżyniera wojskowego Niesieckiego. W dn. 18 kwietnia 1923 r. pierwszy pociąg z polskimi ministrami i urzędnikami przejechał świeżo odbudowanym mostem. Ciekawym jest fakt, że do 1923 roku Grodno nie miało bezpośredniej komunikacji kolejowej z Wilnem: odcinek linii kolejowej w rejonie Marcińkańca był w rękach Litwinów, pociągi zaś z Warszawy do Wilna jechały przez Wołkowysk i Lidę. W 1934 r. most kolejowy znacznie wzmocniono i przerobiono na dwutorowy. Został wysadzony przez Sowietów w nocy 23 czerwca 1941 r. Jesienią tego samego roku Niemcy odbudowali go.

W okresie powojennym most był kilkakrotnie przebudowywany bez zamykania linii kolejowej. Dziś jest on pod stałą ochroną. W czasach radzieckich nawet wzniesiono betonowe stanowiska strzelnicze z polami ochronnymi na obu brzegach rzeki w pobliżu mostu. Most funkcjonuje do dziś i właśnie z niego po raz pierwszy widzą turyści Grodno po obu brzegach naszej mitycznej rzeki Niemen ■

Zdzisław Julian



TADEUSZ GAWIN

Znam Winnickiego prawie od 30 lat. Jest on profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, badaczem m.in. problematyki kresowej, redaktorem rocznika „Wschodnioznawstwo". Wieloletni działacz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" oraz Stowarzyszenia Straż Mogił Polskich – na Wschodzie. Członek Honorowy Związku Polaków na Białorusi.

Poznałem Zdzisława Juliana Winnickiego w sierpniu 1991 roku, spotkaliśmy się w starej siedzibie Zarządu Głównego Związku Polaków na Białorusi. Był wtedy wykładowcą Uniwersytetu Wrocławskiego z tytułem naukowym doktora.

Spotkanie odbyło się w pierwszym dniu puczu Janajewa. W noc poprzedzającą nasze spotkanie, pracownicy KGB włamały się do siedziby ZPB w poszukiwaniu materiałów kompromitujących naszą organizację. Jednocześnie w taki sposób próbowano odwieść organizację i gości z Polski od pomysłu ustawienia krzyża Straży Mogił Polskich w miejscu zamordowania przez czerwonoarmistów generała Józefa Olszyny-Wilczyńskiego. Krzyż miał stanąć w miejscowości Nowiki, leżącej obok miasteczka Sopoćkinie w rejonie grodzieńskim. Na uroczystości z udziałem miejscowej ludności przybyła delegacja z Polski na czele z Zdzisławem J. Winnickim i Mikołajem Iwanowem.

W siedzibie ZPB powstał spór, czy warto w dniu puczu drażnić władze stawianiem krzyża. Kilku działaczy Zarządu Głównego ZPB zrezygnowało z udziału w tej akcji. Jako prezes ZPB zapytałem Winnickiego, czy nadal gotów jest do działania w tak skomplikowanej sytuacji politycznej. Odpowiedział: „Być może to jest ostatnia szansa, by upamiętnić miejsce zamordowania generała. Tym bardziej musimy to uczynić, nawet kosztem zamknięcia nas". Była to odpowiedź odważnego człowieka. Krzyż tego samego dnia stanął w miejscu zamordowania generała.

Niemal przez trzydzieści lat trwają kontakty, a czasami przyjaźnie Winnickiego z ludźmi ziem grodzieńskiej, nowogródzkiej, mińskiej, a z czasem także i wileńskiej. Sądziłem, że tak jak blisko pięć milionów dzisiejszych mieszkańców III RP, Winnicki ma również korzenie kresowe. Na moje pytanie, skąd zainteresowanie tematyką kresową, odpowiedział:

– Jak to skąd? Z „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. Mój pierwszy, literacki kontakt z dziejami ziem litewskich i ukrainnych (bohaterowie Sienkiewicza nie znali pojęcia Białoruś, bo takiej wówczas nie było), który pobudzał moją wyobraźnię, brał się właśnie z opisów kraju, ukazanego na kartach „Potopu" oraz

Winnicki



Zdzisław Julian Winnicki. Koniec lat 90.

„Ogniem i mieczem".

Po wielu latach przyjazdów na Białoruś Winnicki jako naukowiec zaczyna dogłębnie badać i poznawać heroiczną epopeję kresowych oddziałów Armii Krajowej, uzupełnioną wspomnieniami ojca, który wojnę obronną 1939 roku przeżył jako młody podchorąży Rezerwowej Brygady Kawalerii Wołkowysk. Do tego dochodziła głęboko zakorzeniona kresowa świadomość historyczna, ale nie z Litwy, lecz z Rusi Halickiej, gdzie w drugiej połowie XIV wieku cesarz austriacko-niemiecki i zarazem król Węgier osadził żołnierzy wołoskich, uposażając ich w ziemię i zobowiązując – jak piszą źródła niemieckojęzyczne – do obrony ówczesnych kresów węgierskich *gegen Tataren und andere Gesindel* (przeciw Tatarom i innej hołocie). Dragowie – Sasi, bo tak się nazywali owi osadnicy wojskowi z węgierskiego Marmaroszu, przyjęli nazwiska od przydzielonych im włości. Nazwisko Winnicki wywodzi się od miejscowości Winniki w powiecie drohobyckim województwa lwowskiego. Pierwsza wzmianka źródłowa odnosi się do Piotra Winnickiego z Winnik, któremu w 1387 roku król Władysław Jagiełło nadał przywilej uruchomienia młyna w nieodległej Łukawicy. Natomiast XVIII-wieczną epopeję rodzinną opisał przyjaciel rodziny Wincenty Pol w poetyckiej gawędzie „Pamiętniki Imci Pana Benedykta Winnickiego – Przygody młodości w podróży z Krakowca do Nieświeża i powrót w dom rodzicielski" wydanej we Lwowie w 1875 roku. W taki oto sposób Zdzisław J. Winnicki znalazł motywację do nawiązania kontaktów z krajem litewsko-białoruskim. Jego krewniak Benedykt długie miesiące przebywał w gościnie u księcia Radziwiłła „Panie Kochanku" na nieświeskim dworze. Po blisko dwustu latach trafił tam także i nasz bohater.

Zawsze ciekawy krainy Niemna, spinającej Nowogródczyznę, Grodzieńszczyznę, Wileńszczyznę i Kowieńszczyznę, Z. J. Winnicki postanowił zająć się sprawami kresowymi naukowo (po rezygnacji z wielu innych wcześniejszych zainteresowań badawczych), społecznie, popularyzatorsko i poznawczo. Bezpośrednią inspiracją do późniejszych peregrynacji była wrocławska inicjatywa utworzenia na Uniwersytecie Wrocławskim Stowarzyszenia Straż Mogił Polskich – na Wschodzie, powołana przez dr. Mikołaja Iwanowa.

W sprawy Straży włączył się z pewnym bagażem doświadczeń, albowiem rok wcześniej z kolegami zrealizował nowatorski w skali ówczesnej Polski całkowicie społeczny projekt pomocy medycznej dla polskiego środowiska w Nowogródku. Z poparciem ówczesnego konsula generalnego w BSRR i przy pomocy wrocławskich przedsiębiorców właściciel jednej z pierwszych prywatnych przychodni lekarskich we Wrocławiu Zbigniew Huczek za jego namową zorganizował wyjazd medyczny na byłe Kresy. Grupa lekarzy, ciężarówka pełna lekarstw i darów typu odzież i buty w mroźnym marcu



Jarosław Waniukiewicz

Krzyż w Nowikach w miejscu zabójstwa gen. Józefa Olszyny–Wilczyńskiego, ustanowiony w sierpniu 1991 roku

1991 roku przybyła do Nowogródka. Na miejscu grupę przyjęli lekarze z miejscowego szpitala rejonowego, a pomocy w kontaktach z ludnością udzielił ówczesny proboszcz fary nowogródzkiej ks. Antoni Dziemianko, obecnie ordynariusz Diecezji Pińskiej. W parafialnych salkach lekarze przyjmowali pacjentów. Winnicki zaprzyjaźnił się wówczas z działaczami oddziału ZPB w Nowogródku, któremu dzielnie przewodniczyła zacna Zofia Boradyn. Po raz pierwszy zobaczył miasto Wieszcza, pagórkowatą Nowogródczyznę, nadniemeński Lubcz i okolice miasta, a później mityczne dla niego Grodno. Uczestniczył m.in. w zebraniu prezesów oddziałów ZPB w Grodnie.

Niezwykłe przeżycia towarzyszyły Z.J. Winnickiemu podczas udziału w nabożeństwach w kościele w Nowogródku, w którym niegdyś brał ślub Władysław Jagiełło i modlił się Adam Mickiewicz. Wówczas wierni na kolanach (przez całą Mszę św.) dziękowali Bogu za przywrócenie im świątyni. Ci ludzie przez tyle lat walczyli o kościół i swoją polską tożsamość, udało się im przechować monstrancję w ulach... Po latach wreszcie powstała parafia i publiczne życie polskie w ramach ZPB. Odtąd Nowogródek znajdował się na stałej trasie jego podróży, przyjaźń z ks. Dziemianką przetrwała do dziś. Nie sposób w tym miejscu nawiązać do spotkania, jakie miało miejsce dwa lata później. Tak o nim pisał w jednym ze swoich wspomnień Z.J. Winnicki: „W lipcowym skwarze, podrzemując, starą nyską z Krzyżami SMP, kompletnie pustą drogą zbliżaliśmy się do miasta. Obudziło nas ostre hamowanie: na kompletnie pustej drodze wśród gęstego lasu stał … ks. Antoni:

– Pomożecie ustawić krzyż?”.

Jakże by inaczej! Było to miejsce święte, grób Sióstr Męczenniczek Nowogródzkich zamordowanych tam przez Niemców w 1943 roku. „Oczywiście [wspominał Zdzisław J. Winnicki – T.G.] – pomogliśmy księdzu Antoniemu i dwu miłym chłopakom z Baranowicz. Kilkumetrowy dębowy krzyż stoi tam do dzisiaj. Jak to się stało, że ks. Antoni wyszedł właśnie w momencie, gdy my jechaliśmy?”.

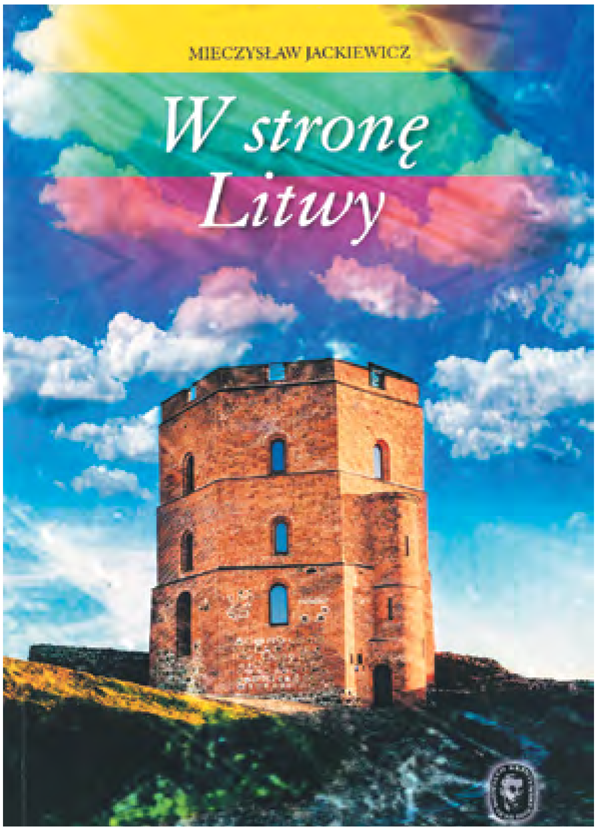
Odtąd każdego lata (z wyjątkiem dwu lat ciężkiej choroby i pięciu lat zakazu wjazdu na Białoruś) wraz z kolegami poświęca się sprawie identyfikacji, upamiętnienia i dokumentacji miejsc martyrologii polskiej na dawnych Kresach I i II Rzeczypospolitej. Zbiegło się to w naturalny sposób z podjęciem badań nad statusem polskiej mniejszości na Białorusi, relacjami białorusko-polskimi oraz ustrojem politycznym najpierw BSRR, a następnie Republiki Białoruś. Poczynając od pierwszej wyprawy Straży w 1991 roku, nawiązał kontakty i przyjaźnie z działaczami Związku Polaków na Białorusi, m.in. z Tadeuszem Malewiczem, Tadeuszem Gawinem, Stanisławem Sienkiewiczem, Ryszardem i Grzegorzem Dalkiewiczami, Stanisławem Kiczką, Wacławem Danowskim, Ireną Waluś, Andżeliką Borys, Kazimierzem Choderem, rodzinami Pacynów z Lidy, Hołowniów z Indury, Giebieniów z Lidy, Boradynów z Nowogródka, Sobolów z Iwieńca, Sadowskich z Wołkowyska, Bohatyrewiczów z Bohatyrewicz, Niżewiczów z Nieświeża i wielu innych zapamiętanych często tylko z imienia, spotykanych na trasie upamiętnień. Zaprzyjaźnił się także z wieloma miejscowymi niezwykłymi w swym poświęceniu kapłanami, odbudowującymi parafie i kościoły.

Dużym dla Winnickiego przeżyciem były spotkania ze starszymi osobami, zwłaszcza pięknymi duchem kresowymi babciami – tymi najwspanialszymi strażniczkami wiary, mowy i ducha polskiego. Skromne, wytrwałe, dzielne przekazały wiarę i polskość w naszej niełatwej sztafecie pokoleń. Przekazywały mu wspomnienia o czasach i ludziach, którzy w warunkach wojny, okupacji i sowietyzacji stały na straży polskości na tych terenach. Z wieloma zaprzyjaźnił się na długie lata – z Albiną Łappo ze Starzynek, Józefą Opolską z Niemnowa, Bronią Gniećko z Nieświeża, Heleną Mickiewicz z Lidy, Genowefą Adamkiewicz spod Kiejdan. Większość z nich już odeszła. Nauczyły – jak opowiadał autorowi artykułu – wiele.

C.d.n.

W stronę Litwy

Irena Waluś



Ukazała się nowa książka profesora Mieczysława Jackiewicza zat. „W stronę Litwy”. Książkę wydano w Olsztynie, a jej wydawcą jest Instytut Północny im. Wojciecha Kętrzyńskiego. To zbiór artykułów naukowych i popularnonaukowych profesora. Kilka z nich ukazało się drukiem na łamach „Magazynu Polskiego”.

Mottem książki Mieczysława Jackiewicza jest cytat z „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza „Litwo, ojczyzno moja”. Jest on dla Autora nie tylko najbardziej znanymi i cytowanymi słowami wieszcza. Z historyczną Litwą profesor był związany od urodzenia i do repatriacji do Polski w roku 1958. Pozostał z nią związany także profesjonalnie.

– Moje zainteresowania Litwą, jej historią, kulturą i literaturą narodu litewskiego wiązało się z pracą w latach 1988-1998 w charakterze wykładowcy literatury litewskiej w Zakładzie Bałtystyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – podaje M. Jackiewicz we wstępie autorskim. – Wówczas postanowiłem upowszechniać Litwę i jej kulturę, a także literaturę i wzajemne wpływy literatur, zwłaszcza polskiej na litewską, a także wpływ historii Litwy i folkloru na twórczość takich polskich poetów, jak Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki czy Władysław Syrokomla.

Oprócz tego Autor w latach 1998-2002 pracował na stanowisku konsula generalnego w Ambasadzie RP w Wilnie. Zresztą, jak powiedział Jackiewicz, przygotowuje wspomnienia z tego okresu.

Artykuły są podzielone w książce na trzy części: „Szkice historyczno-literackie”, „Adam Mickiewicz i Litwa” oraz „Józefa Piłsudskiego powiązania z Litwą” i in.

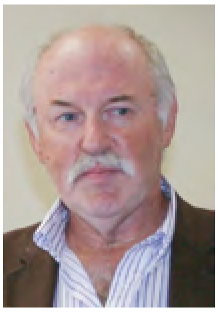
W pierwszej części książki znajdziemy artykuły Autora o pojawieniu się literatury litewskiej i jej rozwoju, poczynając od końca XVIII w. w Małej Litwie i od XIX wieku na Litwie Wielkiej, o kontaktach poetów polskich z kulturą litewską oraz o pojawieniu się państwowości litewskiej. – Stosunki między dwoma krajami nie zawsze były kryształowe, ale wzajemne wpływy – Polski na Litwę i Litwy na Polskę – były niezaprzeczalnie istotne – pisze wydawca książki. Dodaje, że Autor przedstawił „Litwę i Litwinów w sposób niezwykle ciekawy, przenikliwy, a zarazem przystępny, przybliżając Czytelnikowi poprzez perspektywę tamtejszej literatury rdzeń kraju, który był i jest tak ważny dla Polski”.

Czytelnika na pewno zainteresują takie artykuły: „Juliusza Słowackiego związki z Litwą”, „Kazimiery Iłłakiewiczówny związki z Litwą”, „Związki Tarasa Szewczenki z Wilnem i Litwą”, „Zakaz druku litewskich książek łacińskimi literami i nosiciele książek”, „Eliza Orzeszkowa i Litwini”, „Polak członkiem litewskiej Taryby”, „Konflikt polsko-litewski w latach 1918-1920” i in.

Autor – prof. Mieczysław Jackiewicz to ceniony literaturoznawca, historyk, tłumacz, publicysta. W swoim bogatym dorobku ma ponad 40 książek i ponad 500 artykułów o literaturze polskiej, litewskiej, rosyjskiej, białoruskiej, a także dotyczących historii Polski, Litwy, Białorusi i Wielkiego Księstwa Litewskiego. W tym opracowanie 9-tomowej Encyklopedii Ziemi Wileńskiej, dwie książki z historii Wilna: „Wilno znane i nieznane. Ludzie i wydarzenia” oraz „Wilno w XX wieku. Ludzie i wydarzenia”, przewodniki: „Wileńska Rossa”, „Wilno. Spacerkiem po mieście”, „Wędrówki po Litwie”, dwa tomy wspomnień. Jest także tłumaczem literatury rosyjskiej i litewskiej.

Mieczysław Jackiewicz,
W stronę Litwy, Olsztyn 2019,
s. 264 ■

Moc literatury



PIOTR JAROSZYŃSKI

Wielu z nas pamięta słowa wypowiedziane w UNESCO 2 czerwca 1980 r. przez św. Jana Pawła II o tym, że naród polski przetrwał lata niewoli, nie mając innego oręża niż swoją kulturę. W ten sposób papież podkreślił zarówno znaczenie polskiej kultury dla ocalenia naszej tożsamości, jak i jej wielkość.

A jeżeli mowa o latach niewoli, to tym bardziej rozpoznawalna jest literatura, o jaką chodzi, bo to właśnie tamta literatura miała taką moc.

Niezwykłą głębię, piękno i siłę naszej literatury dostrzegano już wcześniej, a wypowiedź papieża doskonale wkomponowuje się w cudowną tradycję wielkich Polaków. Jeden z naszych mistrzów pióra tak zauważał: „Poeci są wyrazicielami uczucia narodu, który żyje w przeszłości [...] mając głowę wykręconą w tył i oczy wlepione w mrok, gdzie jest jego moc, wielkość i sława". Odciąć się od przeszłości, to pozbawić się źródeł siły, zwłaszcza jeśli ta przeszłość przemawia do nas za pośrednictwem geniusza. Mając na uwadze tę właśnie siłę biec trzeba do Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida jak do ożywczych źródeł, żadnego dnia nie spędzać bez przeczytania choćby jednej linijki z ich dzieł.

Więc jako Polacy musimy pamiętać o tej diagnozie z początków XX wieku, gdzie czytamy m.in.: „Literatura stała się cementem spajającym rozerwane części narodu. W Ameryce, w głębinach azjatyckiej Rosji, w rozproszeniu po Europie i po lądach jest ona tym czymś, co zastępuje polski konsulat, polskiego doradcę prawnego, polską szkołę i polski urząd". W polskiej literaturze odnajduje swój świat takim, jakim był, jakim powinien być. Bez zanurzenia się w przeszłość odczytywaną słowem naszych pisarzy nie będziemy wiedzieć, kim jesteśmy i jakiej chcemy przyszłości. Ta literatura dodaje energii i zapału do działania, żeby mieć własne państwo i własną kulturę.



PORTRET JANA KOCHANOWSKIEGO AUTORSTWA TYTUSA MALESZEWSKIEGO

To pod wpływem tej literatury wywalczono niepodległość w 1918 r., to pod jej wpływem zbudowano w ciągu tylko dwudziestu lat silne państwo europejskie, pod jej wpływem walczono o Polskę najechaną przez wrogów; walczono do końca, by nawet śmierć była ziarnem nadziei dla kolejnych pokoleń.

Rzecz ciekawa, tę siłę polskiej literatury doceniali twórcy, którzy należeli do elity nie tylko życzliwych, ale i wrogich, bo gnębiących nas państw. Oto sławny w swoim czasie poeta i tłumacz rosyjski Konstanty Balmont w dniu uroczyście obchodzonego jubileuszu wygłosił mowę w rosyjskiej Akademii Umiejętności, gdzie najwięcej miejsca poświęcił zachwytowi nad polską poezją, a zwłaszcza nad twórczością Juliusza Słowackiego. Zabrał głos wtedy, gdy, jak czytamy: „wokoło gardzieli naszej okręcał się z furią i pasją powróz niewoli, kiedy posiepak przemocy gnębił nasze życie fizyczne, katował ducha pokoleń młodzieży, trzymał w umyślnej ciemnocie ogrom geniuszu lechickiego ludu. Tak, właśnie wtedy Konstanty Balmont nauczył się polskiego, by czytać polską poezję i w niej

szukać drogi do piękna swojej twórczości i twórczości jego rodaków nieświadomych skarbu zawartego w polskim słowie.

Te śliczne spostrzeżenia, przykłady i refleksje pochodzą od Stefana Żeromskiego (Literatura a życie polskie). Są nam wskazówką również dziś, bo czasy na swój sposób też są trudne, a my przecież musimy być mocni, zgodnie z przesłaniem Juliusza Słowackiego:

„Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią – pełne ducha...
I czasem do was gra jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha"
(Beniowski)

Wieszczowie

Myśl polska doszła do najwyższego stopnia natężenia w XIX wieku za sprawą czterech wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Tyloma tak wielkimi poetami w ciągu jednego półwiecza żaden naród nie może się poszczycić. My możemy. Nic więc dziwnego, że ich dzieła w kraju podbitym przez zaborców objęte były ścisłą cenzurą. Były to nazwiska zakazane. Zaborcy bali się, bali się strasznie tej myśli „gorszej dla nich od zarazy" (Pan Tadeusz). Bali się nie tylko zaborcy, boją się wszyscy, którzy podbijają nasz kraj. Jest bowiem w nas jakaś niezwykła siła, której nie mogą zdusić. Jest to siła kultury najwyższych lotów, tak wysokich, że sami nie mogą jej dosięgnąć, by nią żyć. A dla nas jest wszystkim.

Próbowali różnych sposobów. Zakaz publikacji, kara za posiadanie utworu, jak zsyłka na Syberię lub wilczy bilet dla ucznia – byle tylko w duszy Polaka nie zakwitły słowa Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida. Bo te słowa, jeśli płyną z duszy, jeśli poddane zostaną prawidłowemu procesowi artykulacji, stawiają nas na nogi, podnoszą nasze czoła, uwrażliwiają serca, uzbrajają w męstwo, oświetlają umysł. Fenomen niezwykły, jedyny, niepowtarzalny.

Słowa, które oskarżają i które demaskują, słowa, które bronią, dodają mocy, zapału, energii, przywracają tożsamość, odsłaniają misję i cel; słowa, które budzą, jeśli zaczynamy zasypiać. Jest w nich tysiąc lat Polski, dwa tysiące lat chrześcijaństwa, trzy tysiące lat kultury greckiej. Są i kolejne lata, tysiąclecia, na przyszłość, bo Polska nie może zginąć. Poezja naszych wieszczów to najcenniejszy skarb narodowy. Tam się rodzimy do bycia Polakami, stajemy się w ich słowie. Dlatego słowo to musi być ciągle obecne: w domu, w szkole, w przestrzeni publicznej, nawet w kościele, bo przecież do nich nawiązywał nie raz Prymas Tysiąclecia i św. Jan Paweł II. Te słowa nie mogą przestać do nas przemawiać.

Zresztą, dla śmiechu lub pogardy utarł się między zaborcami zwyczaj, by na ważniejsze stanowiska mianować tych, którzy są zaprzeczeniem zakresu ciążącej na nich odpowiedzialności. To jest działanie celowe, obmyślone z premedytacją do najmniejszego szczegółu.



Zygmunt hr. Krasiński. Pocztówka wyd. ok. 1905 r. Fot. ze zbiorów Polona.pl

Walka z krzyżem? Nic nowego. Oto co czytamy w utworze Krasińskiego: „Cieszmy się, bracia moi – Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej".

Ale na to słyszymy odpowiedź: „Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie – u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje – sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu – a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca – znać było, że jest Panem świata".

Zygmunt Krasiński dotykał spraw najistotniejszych. Napisana przezeń poezja sama nie może się dziś bronić, ale my możemy jej bronić. My możemy wystawiać jego dramaty, tak jak arcydzieła Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, w szkołach, w domach kultury, i w teatrach, jeśli tylko panuje tam duch polski. Polskie słowo trwa, musi trwać, musi wrócić, musi z nami ciągle być, aż wszyscy powiedzą: *Galilae, oicisti!* – Galilejczyku, zwyciężyłeś! ■

Były sobie Fabianiszki



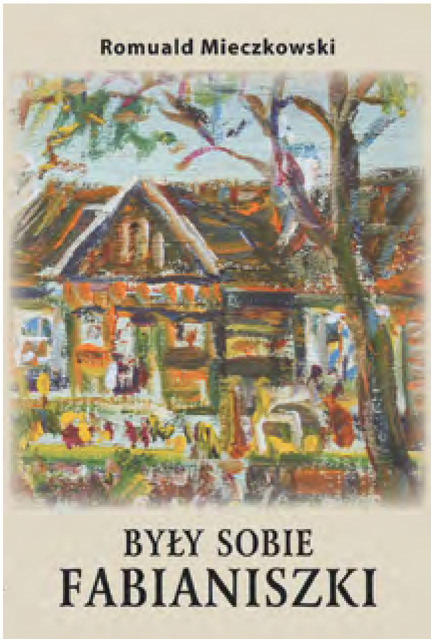
Romuald MIECZKOWSKI



Pradziadkowie Autora – Julia i Jan Mieczkowscy, z córką Katarzyną, po mężu Kołoszewska. Ok. 1900 r. Fot. z archiwum rodzinnego Romualda Mieczkowskiego

Książka *Były sobie Fabianiszki* miała być zaprezentowana podczas tegorocznego – XXVII Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Maj nad Wilią". Zachęcony zainteresowaniem czytelników, jak i badaczy dziejów Wileńszczyzny, jakim cieszyła się w 2007 roku wydana książka *Objazdowe kino i inne opowiadania wileńskie*, powróciłem do wspomnień o mojej rodzinnej miejscowości.

Powróciłem do wcześniejszych historii, dodając nowe i tworząc ciągłą narrację, którą określić można jako liryczno-dokumentalną. Utworzoną ze wspomnień pokolenia, którego coraz mniej pozostaje przedstawicieli. Są to przede wszystkim moje wspomnienia jako dziecka, a potem młodego Polaka na Litwie. Opowiadam o moich Fabianiszkach, których nie ma, w kontekście sąsiednich miejscowości, podróży i ważnych wydarzeń w moim życiu. O ludziach, o których raczej nikt się nie upomni w czasach, gdy na naszych oczach powstaje nowa historia, również ta lokalna, jakże często z pominięciem dawnych dziejów. Akcja opowieści kończy się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy już nie ma dawnej osady, w dobie niepodległej Litwy.



Okładka książki

Książka zawiera ponad 87 fotografii z mojego archiwum rodzinnego. Znaczną ich część wykonałem sam – fotografem stałem się od 1961 roku, kiedy to dostałem 8 rubli od rodziców na nabycie pierwszego mojego aparatu fotograficznego marki *Smiena*, potem były aparaty *Zorka*, *FED* (nieudolna „sowiecka *Leica*", skrót od: Feliks Edmundowicz Dzierżinskij!), a jeszcze do połowy lat dziewięćdziesiątych – lustrzanka *Zenit*. Wszystkie zdjęcia sam wywoływałem i sam robiłem odbitki, jeszcze jako dziecko. Był problem z wyborem zdjęć, gdyż zebrało się ich niemało – co najmniej kilkaset.

O Fabianiszkach opowiadam w sposób luźny, jednakże trzymając się faktów, znanych niekiedy z opowieści – dziś nie ma u kogo sprawdzić, jak było to dokładnie, trudno operować szczegółami, z zapisów ważne były dokumenty i listy. Są to historie, które nie pretendują do zapisów na skalę globalną, to tylko moja próba oddania hołdu tej miejscowości, moim rodzicom i krewnym, mieszkańcom Fabianiszek, adresowana również do ludzi młodszego pokolenia, z zachętą badania i pielęgnowania swoich korzeni. Dramatyczna historia Wileńszczyzny sprawiła, że prawie nie ma literatury polskiej

o tych terenach, pisanej „od wewnątrz”, przez naocznych świadków życia w trudnych i twardych warunkach nowej rzeczywistości.

Składając poszczególne wątki w książkę, opracowując ją technicznie, raz jeszcze przeżywałem dawne smaki, barwy i zapachy Fabianiszek. Już teraz mówią mi moi krewni i moje dzieci, że tego i owego nie opisałem, że coś fajnego opowiadał ich stryj, a mój brat. Z ciotek pozostała tylko jedyna, w sędziwym wieku.

Temat na pewno nie jest wyczerpany. Zachęcam mieszkańców Wileńszczyzny, naszych rodaków na Białorusi i Ukrainie do tworzenia kronik rodzinnych, zapisywania dziejów ich miejscowości i wydarzeń, które dzisiaj bardzo szybko odchodzą w niepamięć, gdyż odchodzą ludzie, którzy byli ich świadkami, zaś nowo przybyli mieszkańcy Wileńszczyzny będą autorami nowych opowieści.



Dom Mieczkowskich w Fabianiszkach pod Wilnem

Fragmenty książki

– A teraz Romuś opowie o swojej ojczyźnie.

– Moją ojczyzną jest Polska...

Dalsze słowa stłumiły wrzaski i śmiechy rozbawionych dzieci. „Ale durny!” – wrzeszczały. „Jaka Polska, odkuda Polska? Nasza rodina Rosija!” – rozległy się głosy. „Kakaja Rosija? Tut Sowietskij Sojuz, Tutaj Związek Radziecki!” – górował donośny głos starszego ucznia, bo w jednym pokoju siedziały dwa oddziały. „My żyim w Litwie i wychodzi to Litwa nasza ojczyzna…” – ktoś piskliwie dowodził.

Stałem znieruchomiały, płonęły mi policzki. Nowy wybuch kpin nastąpił, gdy nauczycielka pogłaskała mnie po głowie. Potem uciszyła klasę, podeszła do okna. W ręku trzymała chusteczkę. Głupio mi było, że pani tak zmartwiła się moją niewiedzą, że aż płakała.

Tego dnia usiłowałem zrozumieć, co to ojczyzna i gdzie jest ta moja. Miałem siedem lat i w żaden sposób nie mogłem pojąć, że nie mieszkam w Polsce, skoro jest taki kraj i mówię w jego języku. Nawet budynek szkoły należał kiedyś do brata mojego dziadka. A on to przecież Ruski nie był, choć przebywał w Rosji, jak go tam wywieźli. Litwinów jeszcze nigdy nie widziałem.



Dziadek Autora Franciszek Mieczkowski. Ok. 1900 r. Fot. z archiwum rodzinnego Romualda Mieczkowskiego



Rodzice Autora w Kalwarii Wileńskiej. 1949 r. Fot. z archiwum rodzinnego Romualda Mieczkowskiego

Rodzice nie zdołali mi też wytłumaczyć, że nie mieszkamy w Polsce. Wszystkie książki były po polsku. I mój „Miś”, i matki „Przyjaciółka”, i ojca „Pszczelarstwo”. Do dziś pamiętam radość, kiedy wielokrotnie sprawdziwszy zawartość skrzynki pocztowej, biegłem do domu, wreszcie niosąc pachnące farbą drukarską czasopisma. Na imieninach i podczas świąt śpiewano, stojąc, „Jeszcze Polska nie zginęła…”, matka nauczyła mnie piosenki o krakowiaczku i innej o góralu oraz o jakiejś bardzo dziwnej dziewczynie, która przemieniła się w przepióreczkę, w takiego ptaka, i jedna została na jakiejś Ukrainie… Gdzie to jest? W domu słuchano radia



RODZINA AUTORA. 1960 R. FOT. Z ARCHIWUM RODZINNEGO ROMUALDA MIECZKOWSKIEGO

po polsku – co niedziela Jezioran, o piątej po południu koncertu życzeń, a wieczorem – były nasze bajki. Uważnie słuchano, bo aparat ciągle trzeszczał.

Ojca w młodości ciągnęło do poezji. Jakoś przed Wielkanocą zaczął pisać wiersz o życiu w zagrodzie. Koledzy nalegali, żeby im przeczytał. Gdy wyrecytował pierwsze słowa: „Włożył buty, marynarkę i poszedł oglądać gospodarkę…” – wybuchli śmiechem:

– To co, Tomku, bez spodni tak sobie poszedł, goły, tylko w butach i marynarce! – kpili.

Po tym zdarzeniu zaprzestał pisania wierszyków.

Kiedy znudziły nas różne zabawy, założyliśmy z bratem zeszyt, w którym postanowiliśmy odnotowywać przejeżdżające przez Fabianiszki szosą samochody, zapisywać ich marki i numery rejestracyjne. Pomysł chwycił, inni chłopcy robili to samo, zaczęła się rywalizacja, kto więcej samochodów spisze.

Po śniadaniu wyruszaliśmy na odkosy, jak zwano pobocza szosy. Prowadziła ona do Wiłkomierza, Poniewieża i dalej, do Rygi, choć większość samochodów jeździła do bliższych miejscowości – Szyrwint, Bartkuszek, Korwia, Olan, Dukszt, Mieżan, Suderwy, Mejszagoły, Rzeszy, Awiżeń czy Bukiszek.

To zajęcie wciągało, choć różnorodność marek przejeżdżających pojazdów była mizerna – *ZiŁy* – skrót nazwy od producenta „Zawod imieni Lichaczowa”, do śmierci Stalina zakłady je produkujące nosiły jego imię i wtedy były to *ZiSy*. Bardzo rzadko spotykało się *ZiMy*, produkowane z kolei przez fabrykę imienia Mołotowa, przemianowaną potem na Gorkowskie Zakłady Samochodowe (w mieście Gorki, dziś Niżny Nowogród), skąd się wywodzą popularne samochody marki *GAZ*.

ZiM był to rządowy cadillac, zbudowany według wzorców amerykańskich na sowiecki ład i zarezerwowany dla najwyższych władz. Jedną taką „maszyną”, już starą, w moich latach młodzieńczych podwoziła mnie odwiedzająca Fabianiszki pewna znajoma, piękna i stylowa dziewczyna. Z osobowych samochodów najwięcej było *moskwiczy* i *pobied*, rzadziej spotykało się *wołgi*.

Na owych odkosach z lubością chłonęliśmy zapach benzyny i samochodowych wyziewów. Większość ciężarówek woziła kołchozowe mienie, niektóre – materiały budowlane, cegły i drzewo, zdarzały się prawdziwe rarytasy – dźwigi i cysterny. A jakaż była nasza radość, kiedyśmy pewnego razu spisali konwój ciężarówek wojskowych!

To nasze nowe zajęcie nie trwało długo. Pewnego dnia do naszego domu przyszedł mężczyzna o srogim wyglądzie i po rosyjsku zażyczył sobie zeszytu. Długo

wypytywał, kto nam kazał zapisywać przejeżdżające samochody i nie mógł uwierzyć, że to Romuś wpadł na taki doskonały pomysł. Potem ojca wezwano do jakiegoś urzędu. Po powrocie powiedział, że jesteśmy *pacany-szpijony*, to jest małolaty-szpiedzy i zakazał kategorycznie, pod groźbą pasa, uprawiania twórczości pisarskiej poza szkołą i domem.

Raz na tydzień całą rodziną wyruszano na Wiłkomierską do łaźni. Z początku ojciec woził nas konnym zaprzęgiem. Zimą saniami przez białe przedmieście jechaliśmy opatuleni derkami i kożuchami.

Potem do łaźni udawaliśmy się autobusem. W męskiej części korytarza odczekiwaliśmy na swoją kolejkę. W przebieralni na ponumerowanych szafkach stały aluminiowe misy na wodę, potocznie zwane *tazikami*. Wchodziliśmy z nimi do nagrzanej i zaparowanej sali, w której myło się jednocześnie może nawet ze sto osób. Sadowiliśmy się na kamiennych ławach, uprzednio polewając je wodą. Czasami przytrafiało się prawdziwe szczęście: wolne miejsce obok „deszczu", czyli natrysku, albo kranów. Wtedy korzystaliśmy z wody szczególnie obficie – obcy ludzie musieli nas uspokajać!

Dla rytuału i szpanu, obowiązkowo należało „poparzyć się". W pomieszczeniu, na wzór fińskiej łaźni – z drewnianymi stopniami w górę aż do sufitu, i z piecem w kącie. Rozpalony piec polewano wodą, gorąca para smagała w twarz, na zaczerwienionej skórze występowały kropelki potu, brakło oddechu. Powoli wchodziło się na coraz wyższe stopnie, skrapiając się równocześnie zimną wodą. Zabierano z sobą brzozowe miotełki – *wieniki*, by się chłostać. Dobrze zbudowani mężczyźni kazali dzieciom, żeby ich smagać z całej siły. W słabo oświetlonym pomieszczeniu czuć było intensywną woń brzozowego listowia. W czasie jednej wizyty w łaźni chodziliśmy



ROMEK MIECZKOWSKI NA SCHODACH DOMU RODZINNEGO. FOT. Z ARCHIWUM RODZINNEGO AUTORA ARTYKUŁU

„poparzyć się" dwa, trzy razy.

Ubierano się nie śpiesząc, żartując i opowiadając kawały oraz różne historie. Wszyscy pociągali piwko. Potem był fryzjer. Przez lata pracowało w łaźni dwóch fryzjerów – dowcipny cwaniak Tadzik i gadatliwy Żyd Szymon. Kiedy pytali, raczej z grzeczności, jak ostrzyc, większość klientów odpowiadała: „Tak, jak było".

Z łatwością fryzjerzy na najbardziej owłosionych głowach wydobywali fryzury „jakie były" kiedyś. W końcu wszyscy wychodzili ostrzyżeni jednakowo. My wybieraliśmy modniejsze fryzury – „pod boks", a później – „na jeża". Ojciec zamawiał golenie. Krzywił się wtedy stary Szymon i narzekał, że mu tępi brzytwę. A ojciec był bardzo dumny, że ma tak mocny zarost.

Wyprawa nie mogła się obejść bez bufetu. To było dopełnienie rytuału łaźni. Wódki oficjalnie niby nie podawano, ale krążyła gęsto. Na witrynie stał zakurzony koniak – jakoś nie było tradycji picia tego trunku. Było piwo i lemoniada, zwana synalką. Uczynna bufetowa, korpulentna blondyna,

zdaje się – pani Zoja, na życzenie podawała napoje nieco podgrzane – żeby mniej odporni się nie przeziębili. Do tego były kanapki z serem i kiełbasą, ciastka i cukierki na sztuki. Nam smakowała najbardziej synalka z „zefirami", rodzajem ogólnodostępnej bezy w Związku Sowieckim.

Nie piszę dużo o moim „rodzonym" dziadku, Franciszku Mieczkowskim, ponieważ zupełnie go nie pamiętam. Był bardzo chory i po prostu chciał umrzeć na swojej ziemi – i to jeden z powodów, że Mieczkowscy nie wyjechali razem z innymi krewnymi do Polski – byli solidarni. Część rodziny wierzyła, a wiara była to powszechna na Wileńszczyźnie, że przyjdą Amerykanie i ich wyzwolą z sowieckiego raju.

Franciszek Mieczkowski znany był z tego, że z niezwykłym oddaniem oprowadzał wiernych po stacjach Męki Pańskiej. Droga Krzyżowa w Kalwarii Wileńskiej wynosi siedem kilometrów i składa się z 35 pięknych stacji barokowych, zbudowanych w XVIII wieku, porozrzucanych po malowniczych wzgórzach i dolinach leśnych. Pomiędzy stacjami zachowano odległość identyczną jak w Jeruzalem. W 1962 roku, a więc w czasach, kiedy chodziłem do szkoły nieopodal tego miejsca, prawie wszystkie zabytkowe kapliczki władze sowieckie wysadziły w powietrze, zostały tylko cztery, znajdujące się obok kościoła. Pamiętam, jak całą rodziną pielgrzymowaliśmy potem po Drodze Krzyżowej, miejsca stacji były oznaczone krzyżykami i kamyczkami. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości kapliczki zostały odbudowane.

Powracam jednak do dawnych czasów i osoby dziadka. Był on znany ze swojego daru modlitewnego przewodzenia po tym świętym miejscu. Nie tylko w całej parafii, ale i w dalszych miejscowościach – Kalwaria Wileńska przed wojną była miejscem pielgrzymowania z całej Polski. Pielgrzymowano od maja po wrzesień, a pielgrzymki zwykle kończyły się oglądaniem filmu o Męce Pańskiej w Jerozolimce, w przystosowanej na tę okoliczność salce remizy strażackiej. Nie mogło się obejść oczywiście bez uroczystego obiadu bądź podwieczorku w miejscowej jadłodajni. A że dziękowano dziadkowi za jego poświęcenie się bardzo serdecznie, to wracał do domu późno i w radosnym nastroju.

Dziadek Franciszek też stoczył walkę z kołchozami. Kiedy umarł jesienią 1951 roku i już był ubrany do trumny, akurat przyszedł agitator czy jakiś inny politruk, by namawiać do zapisania się do kołchozu. Przyjął go ojciec w przedpokoju, czyli w sieniach, ale tamten bez zaproszenia wszedł dalej, do kuchni, i zażądał niezwłocznej rozmowy z gospodarzem:

– *Mnie nużen choziain!* Potrzebny mnie jest gospodarz, gdzie gospodarz?

Ojciec otworzył pokój, gdzie leżał w trumnie Franciszek Mieczkowski i powiedział:

– *Wot wam i choziain* – oto wam i gospodarz!

Gdy przywołuję tamte czasy, krewnych, sąsiadów i znajomych, mam wrażenie, jakbym wyjechał stamtąd bardzo daleko. Widok Wilna z wysokości piaszczystego szarego wzgórza przedmieścia Szeszkini jest dzisiaj niczym kolorowa pocztówka. Patrząc wtedy na miasto, nie mogłem uzmysłowić sobie, że jego zabudowania istnieją naprawdę. Że obok nich mogą chodzić ludzie, jeździć samochody. Że kiedyś w tym mieście mieszkał Mickiewicz i wielu sławnych ludzi, o których z nabożnością opowiadali rodzice. Nie mogłem wyobrazić sobie, że mogę zamieszkać w tym mieście, a gdy w nim zamieszkałem, że mogę je opuścić.

A Fabianiszki? Teraz w dzielnicy o tej nazwie wnuki dawnych mieszkańców Fabianiszek również nie mogą sobie wyobrazić, że były tu domki ich dziadów i zielone pola. Dawne zakątki z trudem pozwalają rozpoznać zachowane gdzieniegdzie stare drzewa.

– Skąd Twoja rodzina przybyła do Wilna? – pytają mnie znajomi wileńscy Litwini.

– Z Fabianiszek – odpowiadam.

– A gdzie pan nauczył się po polsku? – dociekają w Polsce.

– W Fabianiszkach – odpowiadam.

– A gdzie są te Fabianiszki?

– W Wilnie!

Romuald Mieczkowski, Były sobie Fabianiszki, Wydawnictwo Znad Wilii, Biblioteka Znad Wilii (10), Wilno 2020, s. 140 ■



Romuald MIECZKOWSKI

SYN AUTORA MACIEK W FABIANISZKACH

Ekologiczne zachowanie



ELIZA ANDRUSZKIEWICZ

Ekologiczny styl życia jest wymogiem czasu, ponieważ nasze działania w tym kierunku będą miały realny wpływ na przyszłość świata. Co można zrobić, żeby nasza planeta nadal była ładna, czysta i przyjazna dla nas ludzi.

Można zacząć od domu, bo tu jest najłatwiej wprowadzić zmiany korzystne dla środowiska, ponieważ ich wprowadzenie zależy od nas samych. Warto zaznaczyć, że nawet drobne działania będą miały pozytywny wpływ na otoczenie, a często mają one także przełożenie na nasze wydatki.

Możemy na przykład nie pozostawiać urządzeń elektrycznych w trybie stand-by. Chyba większość z nas ma przyzwyczajenie, aby telewizor, mikrofalówkę czy laptop pozostawiać w uśpieniu, zamiast je wyłączyć. Podobnie jest z ładowarkami, których wiele osób nie wyjmuje z gniazdek. Może się wydawać, że wyłączanie za każdym razem urządzeń zajmuje zbyt dużo czasu. Tym czasem wystarczy, że wepniemy je w listwę z przyciskiem „on/off" i naciśniemy jeden guzik – w ten sposób wszystkie urządzenia wyłączą się jednocześnie. To proste rozwiązanie, które nie wymaga wysiłku i czasu. W ten sposób można obniżyć rachunki za prąd, ponieważ sprzęty w trybie stand-by cały czas pobierają energię elektryczną.

Co jeszcze? Jeżeli np. będziemy kupować nową pralkę czy zmywarkę, trzeba zwrócić uwagę na te, które pobierają mniej wody i energii czyli energooszczędne (mają specjalne oznaczenia), dotyczy to również lodówki. W ten sposób zrobimy coś dobrego dla środowiska i dla obniżenia swoich rachunków.

Współczesna osoba „eko", gdy tylko może przemieszcza się na piechotę, rowerem albo komunikacją publiczną. Gdy to nie wchodzi w grę, stawia na ekonomiczną jazdę. Prowadzić auto ekologicznie oznacza prowadzić je płynnie, bez nagłych zrywów. Przy tym nie szarżować, nie ścigać się z innymi kierowcami, bo czym niższe obroty – tym bardziej ekologiczna jazda.

Można pomyśleć też o gruntownej zmianie. Obecnie najbardziej ekologicznym rozwiązaniem, oprócz bardzo kosztownych samochodów „elektryków" są hybrydy. Auto jest wtedy napędzane zarówno benzyną, jak i energią elektryczną, co nie tylko zmniejsza koszt jazdy, ale i emisji szkodliwych dla środowiska spalin.

Jakie są możliwości ekologicznego zachowania w pracy? Właściciel firmy ma szerokie możliwości. To już prawie standard, że w firmach jest dystrybutor wody dla pracowników, ponieważ wtedy nie będą kupowali płynów w plastikowych butelkach. Dobrą inwestycją będą energooszczędne żarówki. Ich zastosowanie korzystne zarówno w pracy, jak i oczywiście w domu. Współczesne sprzęty biurowe czerpią mniej prądu, dlatego warto w nie zainwestować. Można maksymalnie ograniczyć zużywanie papieru.

Pracownicy też powinni pomyśleć o ekologicznym zachowaniu, jeżeli jeszcze tego nie zrobili. Można zacząć od swego komputera i ustawić go w taki sposób, by po 10 minutach bezczynności przełączał się w tryb uśpienia, a po maksymalnie godzinie po prostu się wyłączał. Jeśli koniecznie trzeba coś wydrukować, robić to dwustronnie. Trzeba przyznać, że w wielu miejscach tego się nie robi, ponieważ nie ma należytego szacunku do cudzej własności, przynajmniej na Białorusi, taki oto przeżytek z tamtej epoki.

Ekologicznie trzeba się zachowywać i w innych miejscach publicznych oraz na ulicy: zawsze wrzucać śmiecie do kosza, a nie na chodnik bądź trawnik. W toalecie w kawiarni czy restauracji oszczędnie używać papieru toaletowego oraz papierowych ręczników, jak zresztą i w pracy. Nie zapominać dokręcać kran i zawsze gasić światło po wyjściu z pomieszczenia.

Ekologiczny styl życia to oszczędność pieniędzy połączona z robieniem czegoś dobrego dla ogółu. To coś, co zaprocentuje w niedalekiej przyszłości. Liczą się nawet drobne zmiany i warto nowe zasady wprowadzać od razu ■

Gratulacje dla Polonii w RPA

Barbara Kukulska, prezes Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu, napisała, że ukazał się 650. numer pisma ich organizacji „Wiadomości Polonijne". Barbara jest także redaktor naczelną pisma. „Tak pokaźna ilość numerów, to lata pracy wielu, już obecnie bezimiennych osób, które redagowały najpierw „Komunikat", a od roku 1998 w związku z poszerzeniem zawartych treści nastąpiła zmiana nazwy pisma na „Wiadomości Polonijne" – napisała w liście Barbara Kukulska.



BARBARA KUKULSKA (POŚRODKU) Z PREZYDENTEM RP ANDRZEJEM DUDĄ I AGATĄ KORNHAUSER-DUDĄ. WARSZAWA. 2 MAJA 2018 R.

Z tej okazji naszej koleżance, z którą znamy się od lat, jak również i Czytelnicy „Magazynu Polskiego", składamy serdeczne gratulacje. Jesteśmy pełni podziwu dla pracy Redaktor jak i działalności naszych rodaków na drugiej półkuli świata w dalekiej Afryce, w Republice Południowej Afryki. Życzymy, żeby „Wiadomości Polonijne" ukazywały się przez kolejne długie lata i były czynnikiem integracyjnym dla Polonii w Johannesburgu.

Z wyrazami szacunku i uznania

IRENA WALUŚ

Wspomnienie o Doktorze

W lipcu 1945 roku znalazłam się z mamą w Kuźnicy Białostockiej, była to ucieczka przed wywózką na „białe niedźwiedzie". Mojego ojca w 1940 roku zesłano na półwysep Kola za obronę Grodna we wrześniu 1939 roku. Ojciec – jak się potem okazało – znalazł się w Armii Andersa w wyniku amnestii na podstawie układu Sikorski-Majski.



ANTONI DOCHA

Nie wiedziałyśmy, że do Kuźnicy uciekł też doktor Antoni Docha. Byłam wygłodzona, pokryta wrzodami na skutek awitaminozy, po ciężkiej szkarlatynie, leczonej rozbełtanym jajkiem. Byłam tak chuda, że na łopatce kładłam kamuszek i szłam, nigdy nie spadł. To była moja zabawa. Wtedy litościwa znajoma, też uciekinierka, zawiozła mnie na wozie do Sokółki do doktora Antoniego Dochy. Przyjmował w Rynku. Dzień targowy, pełno wozów. Zaczęła się strzelanina i popłoch. Z opiekunką schroniłyśmy się pod wozem.

Musiałam w lekarzu wzbudzić litość. Kazał mi usiąść na jego krześle. Oglądnął głowę i dłoń pokrytą wrzodami o obrzydliwej wydzielinie, co mama suszyła babką lancetową (pomagało). Doktor Docha podał mi lekarstwo w płynie, cukierka, pogładził po głowie, wyciągnął z szuflady banknot, wsunął mi do kieszonki i polecił natychmiast wykupić w aptece inny lek. Okazało się, że mieszkał w Kuźnicy. Widziałam go jeszcze kilka razy jadącego rowerem...

Przez kilkadziesiąt lat nie pamiętałam o tym epizodzie. Zapomniałam nazwisko. Aż nagle niedawno natknęłam się na wzmiankę o głośnym przedwojennym poleskim „proroku", który przyjaźnił się z doktorem Dochą. Sprawdziłam dane, znalazłam zdjęcia Antoniego Dochy. Toż ten sam! Po latach odczułam przypływ wdzięczności do tego człowieka. Mój artykuł jest podziękowaniem za jego serce. Jego córka była również lekarzem. A wnuczka (ta ze zdjęcia do artykułu w „Magazynie Polskim") jest posłanką, zajmuje się sprawami rodzin i dzieci. Sama ma zdaje się siedmioro dzieci.

HALINA BURSZTYŃSKA
KRAKÓW



Składanie wieńców i zapalenie zniczy przez prezes ZPB Andżelikę Borys i konsula generalnego RP w Grodnie Jarosława Książka na cmentarzu w Szczuczynie przy grobie żołnierzy VII Batalionu 77. PP AK. Obchody rocznicy operacji „Ostra Brama” na Grodzieńszczyźnie. 6 lipca 2019 r.

Irena Waluś



AK-owcy podczas obchodów 75. rocznicy operacji „Ostra Brama” w Wilnie. 7 lipca 2019 r.

Irena Waluś

